

FESTIWAL POEZJI

Już po raz trzynasty Łódź gości poetów i krytyków literackich z całego kraju, którzy spierać się będą o nośność słowa podniesionego do najwyższej potęgi wyobraźni. I na pewno tym sporom towarzyszyć będzie refleksja nad miejscem poety we współczesnym świecie, tak bardzo zdominowanym przez rozwój techniki. Jesteśmy przekonani, że w festiwalowej, choć wcale nie odświętnej dyskusji, zabrzmia głosy zatroskania o dialog z czytelnikiem, o porozumienie z odbiorcą, bez którego najpiękniejszy nawet wiersz jest tylko kombinacją znaków graficznych. Poezja jest nie tylko głosem swego czasu. Jest także promieniem światła, który rozjaśnia mroki przyszłości, odkrywa niepokojące dopiero przeczuć.

Ogólnopolskie festiwale poezji w Łodzi mają już znaczącą tradycję. Bywali na nich Przybysz i Wyka, Czernik i Jakubowski, Stern i Grochowiak, że wspomnieliśmy tylko nieżyjących. Nie jeden uznany dzisiaj twórca stawał w konkursowe szranki, aby szukać potwierdzenia swoich racji, swojej wizji świata, aby dowieść do czytelnika cząstkę swojej prawdy. Nie ma chyba nic bardziej osobistego od wypowiedzi poety, a przecież jego głos porusza serca innych, obcych ludzi, którzy w naszym oświeceniu dostrzegają własną prawdę, dotąd przez nich nienazwaną. Poezja nie może się obejść bez słuchaczy, ale i człowiek nie może się dłużej bez niej obejść, jest przecież jego szóstym zmysłem.

Ogólnopolskie festiwale poezji w Łodzi mają już swoje stałe miejsce na mapie kulturalnej kraju i miasta. Obrady toczyły się zawsze w ludnych salach, obok wybitnego twórcy siedział często jego czytelnik, obaj stawali na mównicy. A potem dyskusja przenosiła się do bibliotek, klubów, świetlic, do domów kultury, do miasteczek.

To tylko wspomnienia, ale mówiło się przecież, że festiwale nie są potrzebne, że grozi im uwiędnięcie, że wierszy nie pisze się podczas dyskusji i sporów, tylko w ciszy własnej pracowni. To prawda, żaden festiwal nie rozstrzygnie za poetę jego wątpliwości, gdyż to artysta musi być sam sobie prawodawcą. Ale ruch myśli sprzyjał zawsze porządkom wyobraźni, przygotowywał grunt dla ładu, jaki poeta ustanawia swoim działaniem.

Festiwale poetyckie w Polsce rozdziły się i umierały, festiwal łódzki trwał niewzruszenie, jest dziś ciałem ustawodawczym poetów w naszym kraju najstarszym. Przynajmniej wiekiem. I po okresie pewnej stagnacji mamy nadzieję, że przeżywa drugą młodość. Świadczy o tym choćby program tegorocznego festiwalu, zapowiadający dyskusję daleko wykraczającą poza hermetyczne rozważania specjalistów. Świadczy o tym ilość zgłoszeń pisarzy z całego kraju, którzy przyjęli udział w tym prawdziwym święcie poezji. Dowodzi tego liczba utworów przysłanych na konkursy.

Łódź jest miastem posiadającym swoją specyfikę. Rytm ciężkiej pracy nie zagłuszył tu nigdy tęsknoty do wartości nieprzeleżanych na metry bawełny, sztuki płótna. Nieprzypadkowo więc to Łódź właśnie stała się miejscem najstarszego w Polsce festiwalu poezji. Pisarz znalazł tu zawsze wiernych, wytrwałych słuchaczy. Poszukując prawd nie odkrytych nie zapomniamy więc, że są tutaj ludzie, którzy na tę prawdę czekają. I że posiadają własne prawdy, których nie poznała jeszcze literatura.

Tego nurtu refleksji nie powinno także zabraknąć podczas festiwalowych obrad. Kim jest czytelnik poezji i jakie poeta ma wobec niego obowiązki? Kogo wyraża i jakim językiem? Pytania te są odwieczne, ale zawsze znaczą co innego.

Z trybuny festiwalowej pytań tych padnie więcej, sądząc choćby po tytułach referatów. I to dobrze, nawet jeśli nie zawsze uda się na nie znaleźć rzeczywistą odpowiedź. Bo na pewno najgłębsza odpowiedź zawarta zostanie w nowych, nie napisanych jeszcze wierszach.

Witając serdecznie w Łodzi wszystkich uczestników XIII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji życzymy im pomyślnych obrad.

REDAKCJA

(Na str. 2 podajemy szczegółowy program obrad i imprez towarzyszących festiwalowi).

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 16 (1167) ROK XXIII

20 KWIETNIA 1980 R.

CENA 3 ZŁ



Z okien nowoczesnego hotelu „Wieniec” doskonale widać panoramę Ulanowską.

Foto: L. Włodkowski

Część I.

Plac Komsomolski. Nazywają go też placem trzech dworców. Jarosławski, Beningradzki i Kazański. Ten ostatni przypomina pałac ze wschodniej bajki. Zawsze mam ochotę zwiedzić go, kierowany nadzieją, że w środku jest tak samo baśniowo, jak na zewnątrz. Ale w środku jest normalnie. Jak na dworcach całego świata. Ludzie śpieszą się. Czekają. Wyglądają kogoś. Zegną. Nasz pociąg odchodzi 15.45.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI GDZIE SWIJAGA NIE WPADA DO WOŁGI

W Moskwie jest pochmurno. Wieje wiatr i pada śnieg. Martwimy się trochę o podróż w taką pogodę. Patrzymy na zawiane śniegiem Podmoskowie. Wreszcie pierwsza stacja. Kołomna. W niebo biją liczne kopuły cerkiewi.

— Spójrzcie zaraz za miastem na piękny, zabytkowy sobór. Klasa zeroła, tylko czeka na renowację — mówi Andrzej Słisz. Po chwili dodaje: — Tu gdzie zmarła w więzieniu Maryna Mniskówna.

Ulanowski powitał nas pięknym słońcem, ale leż i niezłym mrozem jak na początek marca.

— Cóż chcecie, to przecież Środkowe Powołże. Do Uralu już niedaleko. — powiedział Franek Lewicki i głębiej wsunął się w kołnierza kozucha.

1.

Środkowe Powołże. W dziejach państwa rosyjskiego, a i w dziejach walki o władzę radziecką odegrało ono ważną rolę. Kolonizacja

Dalszy ciąg na str. 12

ZBIGNIEW S. NOWAK

NA GAZIE

Nikogo nie trzeba specjalnie przekonywać, jaką wygodę stanowi gaz w gospodarstwie domowym. Gaz daje się łatwo przesyłać na znaczne nawet odległości bez strat energetycznych. Przy tym, w porównaniu z innymi źródłami energii cieplnej, kosztuje stosunkowo mało. Korzyści płynące z gazyfikacji można by wyliczyć wiele.

Gazyfikacja przewodowa nie jest jednakże jeszcze tak powszechna, jak byśmy sobie tego życzyli. Cóż więc? Chętnym pozostaje tzw. gaz z butli, czyli popularny propan-butan. Gazyfikacja bezprzewodowa także jest wielkim dobrodziejstwem, zwłaszcza dla mieszkańców mniejszych ośrodków, w których brak gazu sieciowego. Kalkuluje się wprowadzić drożej, ale i tak chętniej jest znacznie więcej, niż wynoszą aktualne limity możliwości zakładów gazyfikacji. Sytuacja jest tu mniej więcej taka, jak z telefonami.

Znaczna przewaga popytu nad podażą, zakłócenia równowagi rynkowej, często pociągają za sobą rozliczne nieprawidłowości w podziale dóbr i stwarzają wiele okazji do nadużyć. Nie inaczej też jest w przypadku rzeczowego gazu z butli. Przykładów nie trzeba szukać daleko. Wystarczy choćby w Zgierzu...

Dalszy ciąg na str. 4-5

TOMASZ SOLDENHOFF

PING-PONG W „LUTNI”

Z wyblakłych wspomnień i tego, co pozostało, nielato skleić obraz dawnej „Lutni”.

Obszerny hol. Szerokie, rozdzwajające się schody prowadzą z niego na piętro, gdzie kiedyś była sala kinowa.

Po lewej stronie holu sterzą jeszcze smętne kikuty wieszaków. Za filarem stos desek, naprzeciw wejścia zwalone na stertę żelastwo, w którym dopiero po chwili rozpoznajemy rampy jarzeniówek oświetlających niegdyś westybul. Z prawej strony stoi opuszczony warsztat, nikt przy nim nie pracuje. Na suficie świeże ślady kucia znaczą szlak instalacji elektrycznej. Ale wokół tych śladów tynk zwilgotniał, skądś przecieka woda...

Schody, piętro... i znowu nikt. Nieprzyjemnym mrokiem zionie widownia. I jeszcze wyżej — po żelaznych schodach. Gruz, rozbebeszone przewo-

dy i zdewastowany ustepek.

Na parterze zza drzwi w bocznym korytarzu dobiegają głosy. W pakamerze kilku mężczyzn siedzi przy

stole (charakter zastawy wyjaśni się później, trafieniem na imieniny — Zbigniewa...). Pytam o kierownika, majstra. Nie ma — odpowiada. Ale dwóch podrywa się na propozycję zwiedzenia budowy.

Robotnicy:

— Gdy trzy lata temu zaczęliśmy remont, obok kopano pod wieżowiec. Dziś blok stoi, a my się ciągle babrzemy...

— Wciąż ktoś inny przychodzi, kręci nosem, zmienia decyzje. Po kilka razy przerabiamy jedno. Już żal patrzeć na to marnotrawstwo...

— Dwa, trzy dni pracujemy i robota staje. Teraz znowu stoi. Uzupełniają dokumentację. Podobno strop

Dalszy ciąg na str. 3

własnie kolorem oznacza wszystkie swoje jednostki. Dokąd prowadził w minionym roku szlaki PZB? Z bazy promowej w Gdańsku można było udać się do Helsinek i Nynaeshamn, a od stycznia br. również do

ŚLAWOMIR DARZYCKI

RYSY NA BŁĘKICIE

malowniczej Karlskrony. Ze Swinoujścia odpływają promy do Ystad i Kopenhagi (z połączeniem do Oslo). Zrezygnowano w ubiegłym roku z linii do Wielkiej Brytanii (Felixtowe), jako główny powód podając fakt nie sprawdzenia się „Pomeranii” na Morzu Północnym. Skądinąd wiadomo zaś, że w okresie od listopada 1978 do września 1979 na szlaku tym zanotowano ponad 110 mln zł strat — mimo iż w tym czasie przewieziono około 20 tys. pasażerów i około 5 tys. pojazdów.

Dalszy ciąg na str. 4



DNI KULTURY RADZIECKIEJ

W ubiegłym tygodniu informowaliśmy naszych Czytelników szczegółowo o wielu imprezach, które odbywać się będą w Łodzi w dniach od 18 do 27 kwietnia — z okazji „Dni Kultury Radzieckiej”. W tym roku — przypomnijmy — impreza ta jest ważnym elementem obchodów trzech rocznic: 35-lecia Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między ZSRR i Polską, 35 rocznicy zwycięstwa nad faszystyzmem i 110 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina.

Dzisiaj prezentujemy program „Dni Kultury Radzieckiej” w trzech odcinnych województwach: sieradzkim, skierniewickim i piotrkowskim.

Nad przebiegiem „Dni” w województwie SIERADZKIM i samym Sieradzu czuwać cały szereg organizatorów, a wśród nich Wydział Kultury i Sztuki UW, ZW TPPR, Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Wojewódzka Rada Związków Zawodowych.

24 kwietnia w Teatrze Miejskim w Sieradzu odbędzie się koncert orkiestry symfonicznej z Kalisza, w którego repertuarze znajdują się utwory kompozytorów rosyjskich i radzieckich. Sieradz i województwo gościć będą także amatorski ludowy zespół pieśni i tańca „Litowa” z ZSRR.

Nie zabraknie również imprez literackich — tak 22 i 23 kwietnia w refektarzu WDK i

w Miejskim Domu Kultury w Zduńskiej Woli odbędą się wieczory literackie poświęcone piarstwu Lwa Tołstoja i współczesnej poezji radzieckiej. W bibliotekach zorganizowane będą wystawy książek pod jednym tytułem: „Poznajemy radziecką literaturę piękna”. W wielu klubach „Ruchu” województwa trwać będą kiermasze książek pisarzy rosyjskich i radzieckich.

Osobny rozdział „Dni Kultury Radzieckiej” stanowią mają imprezy filmowe, poświęcone zarówno twórczości fabularnej, jak i krótkometrażowej. W zakładach pracy natomiast zorganizowane zostaną wystawy plakatów filmowych.

W nuncie uroczystych wieczorów, spotkań i spektakli nie zabraknie akcentów rocznicowych. W zakładach pracy zaprezentuje się fotografie ilustrujące wspólny dorobek w okresie 35 lat Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między ZSRR i PRL. Odbędzie się spotkania z uczestnikami „Pociągów przyjaźni”, weteranami walk II wojny światowej. W planach zakładowych radioewizyj znajdują się audycje związane tematycznie z pokojową polityką Związku Radzieckiego, osiągnięciami Kraju Rad. W Domu Kultury w Łasku planowana jest wystawa „Fotogramów pod nazwą „Kultura republik radzieckich”, a bogaty program imprez w województwie sieradzkim uzupełnią „Niedziele przyjaźni” w tymże Łasku oraz Wieluniu, liczne konkursy, wystawy radzieckich znaczków pocztowych, quizy.

Staraniem Wydziału Kultury i Sztuki UW, ZW TPPR i władz oświatowych, również w województwie SKIERNIEWICKIM oraz w jego stolicy przygotowano na dni od 18 do 27 kwietnia szereg interesujących imprez. Spodziewany jest w nich udział radzieckich zespołów muzycznych, pieśni i tańca, solistów z Kraju Rad. Kilkanaście koncertów z ich udziałem odbędzie się m.in. w Łowiczu, Żyrardowie, Sochaczewie, Rawie Maz., Skierniewicach, a także w gminach (np. Dmosin, Mszczonów, Młodzieszyn, Chąsno).

W wymienionych miastach, a także w Mszczonowie, zorganizowano także szereg prezentacji radzieckiej kinematografii p.n. „Wiosenne spotkania z fil-

mem”. Do prezentacji tych włączy się też znany z aktywności Klub Filmowy „Eroica”, działający w Skierniewicach przy Wojewódzkim Domu Kultury.

W Skierniewicach również otwarte zostaną dwie ciekawe wystawy plastyczne: radzieckiego plakatu filmowego i olejnych obrazów Kuzmy Wodkina.

Program „Dni” przewiduje bezpośrednie spotkania mieszkańców z gośćmi z Kraju Rad. M.in. oczekiwani są ludzie teatru, którzy w tym czasie przybędą do Polski z ZSRR, a także dyrektor Domu Kultury Radzieckiej w Warszawie — Helena Lebedzińska. Spotkania z nią odbędą się w Łowiczu i Skierniewicach. W dziesięciu innych spotkaniach wezmą udział pisarze radzieccy oraz tłumacze. To w miejskich i gminnych bibliotekach; w klubach, świetlicach i szkołach natomiast trwać będzie cykl odczytów poświęconych 35 rocznicy wspomnianego już układu oraz dwu pozostałym rocznicom.

W ramach imprez „Dni Kultury Radzieckiej” w województwie skierniewickim nie zapomni się również o dzieciach i młodzieży. Liczne kominki p.n. „Pegazem do przyszłości” w drużynach harcerskich, „Turnieje wiedzy o kulturze i sztuce Kraju Rad” w kołach ZSMP oraz wycieczki młodzieży szkolnej do Warszawy w celu zwiedzenia Domu Kultury Radzieckiej — to niektóre przykłady imprez.

Nie mniej ciekawie zapowiadają się imprezy przygotowane przez organizatorów „Dni Kultury Radzieckiej” w województwie PIOTRKOWSKIM 21 kwietnia br. w Opocznie — w niedawno otwartym Miejskim Domu Kultury — odbędzie się uroczysty koncert z udziałem amatorskiej „Estrady przyjaźni”. Zakładowy Dom Kultury „Pamotek” będzie miejscem występów laureatów eliminacji wojewódzkiego konkursu piosenki radzieckiej, finału konkursu recytatorskiego oraz konkursu pieśni i tańca Barwy przyjaźni” przeznaczonych dla dzieci. Koncerty poświęcone pieśniom i piosenkom ZSRR planowane są także w innych miastach

województwa piotrkowskiego: Bełchatowie, Przedborzu, Zelowie i Koluszach.

Z imprez teatralnych godzi się odnotować występy gościnne Teatru im. Jana Kochanowskiego z Opola, który 28 kwietnia pokaże w sali widowiskowej Wojewódzkiego Domu Kultury jedną ze sztuk radzieckich współczesnego autora.

Dużą część imprez przygotowanych na „Dni” w Piotrkowie i województwie zajmują wystawy. Np. w bibliotekach czynne mają być ekspozycje książek pisarzy radzieckich a w klubach „Ruchu” — wystawy fotografii, prezentujące osiągnięcia gospodarcze, społeczne i kulturalne ZSRR. Także w MDK w Opocznie oraz w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej i kinie „Hawana” w Piotrkowie Tryb. czynne będą wystawy poświęcone sztuce i kulturze ZSRR. Natomiast w galerii „Pod Arkadami” w Tomaszowie Mazowieckim płon swoich podróży do Związku Radzieckiego zaprezentuje artysta malarz, twórca ciekawych akwarel — Tadeusz Iskierko (25 prac). Obok tych wystaw projektowane są ekspozycje filatelistyczne, przede wszystkim w piotrkowskim Wojewódzkim Domu Kultury.

Spotkania i — wieczornice, związane tematycznie z Krajem Rad, odbywać się będą przede wszystkim w szkołach. Dla aktywny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, nauczycieli i uczniów szkół średnich przeznaczone będą także seminaria i odczyty poświęcone życiu i działalności Włodzimierza Lenina, a także problemom współpracy między ZSRR a Polską.

Ważnym akcentem obchodów „Dni” w województwie piotrkowskim będą również spotkania z przedstawicielami ambasady Związku Radzieckiego w Polsce.

W uzupełnieniu informacji z poprzedniego numeru „Odgłosów” podajemy, że 16 kwietnia w Domu Ludowym w Bychowie — w województwie miejskim łódzkim — odbyło się z udziałem przedstawicieli ambasady ZSRR w Polsce uroczyste zakończenie konkursu na najbardziej aktywne wiejskie koło Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

(T)

PROFESOR (1886-1980) WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ

Cóż można napisać po odejściu Filozofa, który — choć brzmiało okrutnie — przygotował swą ostatnią książkę siebie i nas na najbardziej nieuchronne zdarzenie(?) ludzkiego życia? Po co przytaczać szczegółowe biografie? Sam je przecież podał. Po co wymieniać tytuły Jego dzieł, choćby tych najbardziej znanych — funkcjonujących żywo w społecznej świadomości, a będących dzięki temu ewenementem w uprawianych przez Profesora dyscyplinach? Dlaczego teraz, nazajutrz po śmierci, dywagować na temat Jego własnych poglądów, przysłoniętych cieniem naukowego obiektywizmu i osobistej skromności?

A przecież zmarł jeden z ostatnich polskich filozofów — ostatni Arystotelis polskiej kultury filozoficznej.

Niech nie pomawiają mnie o dezygnację i ignorancję żyjących orendowiczy mądrości. Nie pora na wyważenie różnic między dwoma paradygmatami: Platonskim i Arystotelesowym — wyznaczającym oblicze europejskiego filozofowania. Niech wspomną na Bachtinowskie rozróżnienie myślicieli i filozofa. Zrozumieją, że Profesor, na mocy charakteru swego dzieła „ma pewne prawo do tego, by (Go) nazywano filozofem”, lecz dlaczego — zapytają — ostatnim?

Czymże jest w istocie swego filozofia, jak nie bezustannym dialogiem, wspartym na logicznych regułach dowodzenia i wnioskowania? Czymże, jak nie bezustannym zapytywaniem? Lecz by dialog ten, ze zdiwieniem, czy zdziwieniem się biorący (Platon) prowadzić, wiedzieć trzeba z kim go wiesie i o co. Znać należy propozycje przedłożone przeszłości. Tak oto historia filozofii, obok logiki jest filozofowaniem — propedeutyką — lecz czymś więcej także. Jest narzędziem i wzorem. Profesor Tatarkiewicz był ostatnim, który narzędzie podniósł do rangi wzoru.

Zajmował się porządkowaniem pojęć. Niczym więcej. Nikt wszelako tej trytanicznej pracy nie wykonał lepiej niż On. Nikt „jaśniej i wyrazniej” nie zdawał sprawy z tego, że pojęcie — spiritus movens filozofowania, posiada swój byt osobliwy, ce-

chowany historycznym i ludzkim stygmatem. Jego wysiłkowi zawdzięczamy tedy najbardziej obiektywny w kulturze polskiej obraz życia, pojęć, różnicowania ich sensów, uwrażliwiania na treści nie dostrzegane.

Porządkował pojęcia. Zadał uczonego rozumiać jako postawę bezstronnego, wręcz anonimowego poszukiwania prawdy, choć wiedział doskonale o tym, że absolutnie prawdziwe rozwiązanie nie jest niemożliwe. Równałoby się śmierci naszego gatunku.

Lecz tak jak historia filozofii jest filozofowaniem podstawą, nie filozofowanie jest jedną racją ludzkiego istnienia. Odnalazł ją Profesor w aksjologii, a zwłaszcza w sztuce. Estetycy toczyli będąc zapewne spory o propagowany przez Niego pluralizm estetyczny — jak zwykle dzieje się z koncepcjami oryginalnymi i inspirującymi. Sama wreszcie oryginalność artystyczna i estetycznych preferencji Profesora nie jest tu sprawą najistotniejszą. To co ważne, i co Jego zasługą pozostaje, to zwrócenie uwagi na fakt, że człowiek — tak momentami zwyrodniał — człowieczeństwo odnajduje w specyficznie własnych wartościach, nie redukujących do ułomności swego urodzenia. To zadziwienie bijące z estetycznych dzieł Profesora Tatarkiewicza, zadziwienie ogromem artystycznych dokonań, winno być i naszym udziałem — ludzi żyjących w dobie kryzysu i relatywizacji norm oraz wartości. Tych artystycznych także.

Nie jest to nawoływanie do kreowania homo aestheticus. „Historia estetyki”, „Dzieje sztuki” mogą być odczytywane nie jako „dzieje” właśnie, lecz jako „wyznanie wiary filozofa” w istnienie przez czas niepokonanych reszduów wzniósłości, dających świadectwo — jakże często! — przeciwko nam samym.

Bądźmy egzekutorami tego przesłania! Pracowicie swojego życia powtarzać nie chciał. Przeciwnie zakończenie autobiografii, stawia nas w obliczu Człowieka, który — zmęczony — chciałby trochę tylko odpocząć. „Zaczynać na nowo” będziemy już sami.

MAREK STYCZYŃSKI

LENIN O LITERATURZE I SZTUCE

Lenin dobrze znał klasykę rosyjską i światową, uważnie śledził współczesną mu literaturę. „Kochał klasyków rosyjskich, kochał realizm w literaturze, w malarstwie i w innych sztukach” — pisał pierwszy radziecki komisarz ludowy oświaty Anatol Łunacarski.

Jak stwierdza współpracownik agencji „Nowosti”. A. Dementjew — już w artykule „Organizacja partyjna, a partyjna literatura” W. Lenin dowodził, że partyj-

ność literatury bynajmniej nie oznacza jej uniformizacji, że mistrzostwo literackie trudniej niż cokolwiek innego poddaje się mechanicznemu niwelowaniu, że „w tej dziedzinie bezwarunkowo zapewnić trzeba więcej swobody dla inicjatywy osobistej i indywidualnych skłonności, swobody myśli i fantazji, formy i treści”.

Dla Lenina było oczywiste, że ze względu na samą swoją istotę twórczość artystyczna jest nie do pomyślenia bez różnorodności form i stylów środków wyrazu, a swoiste ujednolicenie może przynieść jedynie szkodę rozwojowi literatury i sztuki.

Lenin był jednak niezmiennie i principiennie przeciwnikiem bezpłodnego nowatorstwa, nie zawierającego niczego poza pustą grą form i formalistycznych grymasów, bezsensownym deformowaniem rzeczywistości. Uważał, że tzw. stara sztuka nie zawsze jest przestarzała i często zachowuje wartość jako wzór prawdziwego piękna. To, co w słowach jest nowe, w istocie nierzadko okazuje się tylko modą i nie zawiera niczego nowego.

W artykule „Organizacja partyjna a

partyjna literatura” Lenin po raz pierwszy wysunął zasadę partyjności literatury. Jaki sens wkładał w to pojęcie? Partyjność literatury — według Lenina — nie ma nic wspólnego z narzucanymi jej z zewnątrz określonymi wymaganiami. Zasada partyjności zakłada, że idee komunizmu stały się częścią pisarza, jego przekonaniem, sumieniem, widzeniem estetycznym świata.

Stąd też stosunek Lenina do Gorkiego, w którym widział jednego z największych przedstawicieli sztuki proletariackiej. Stąd pozytywne oceny działalności pisarzy, stojących u źródeł literatury radzieckiej: Włodzimierza Majakowskiego, Demiana Biednego, Marietty Szaginan.

Choć dla Lenina partyjność była największą wartością sztuki, nigdy nie przesłaniała mu i nie pomniejszała znaczenia wartości estetycznych twórczości artystycznej. Do literatury jako krzewicielki piękna Lenin przykładał dużą wagę. Świat literatury pięknej był dlań źródłem poznania świata, źródłem dającym człowiekowi siłę, dumę i mądrość w przekształcaniu tego świata — pisał A. Dementjew.

PO RAZ TRZYNAŚTY

W pierwszym dniu obrad Artur Sandauer, autor głośnego eseju opublikowanego niedawno w „Polityce” mówił będzie o tym „Jak gospodarujemy literaturą?”. Piotr Kuncewicz zapowiedział również ważki temat: „Funkcja poezji we współczesnym świecie”. Ponieważ dyskusja toczyć się będzie w MBP im. L. Waryńskiego, przewidujemy, że wezmą w niej udział obok gości festiwalu (zapowiedziano swój przyjazd 85 poetów i krytyków literackich ze wszystkich ośrodków) także liczni miłośnicy poezji: bibliotekarze, nauczyciele, studenci. Wstęp wolny.

bec współczesności” oraz Anny Świrszczyńskiej „Czy poeta ma obowiązki?”.

Festiwal powrócił do tradycji nagradzania opublikowanych książek poetyckich. Ośmiem najważniejszych wydawnictw zgłosiło łącznie 41 tomików poetyckich opublikowanych w okresie ostatnich dwóch lat. Niezależnie od tego przyznana zostanie nagroda za najlepszy tomik niepublikowany (64 tomiki). Nadesłano także na konkurs 364 zestawów niepublikowanych wierszy. Świadczy to o poważnym zainteresowaniu łódzkim festiwalem w całym kraju, za-

równy w środowisku profesjonalistów zrzeszonych w ZLP jak i wśród debiutantów.

Sądowi konkursowemu przewodniczy Jan Huszcza, laureat jednego z poprzednich festiwali. Obok niego w skład jury wchodzi: Tadeusz Giegier, Mirosław Ostoję Ochocki, Igor Sikirski, Ziemowit Skibiński, Mieczysław Michał Szargan, Jan Bystrzyński oraz Andrzej Pławszewski.

Dodajmy jeszcze, że w pierwszym dniu festiwalu, w Łodzi, Pabianicach i Zgierzach, odbędzie się łącznie blisko dwadzieścia grupowych spotkań autorskich, na których wystąpią uczestnicy festiwalu z całego kraju wraz z ich łódzkimi kolegami po piórze. Miejska Biblioteka Publiczna im. Waryńskiego organizuje wystawę poświęconą pamięci Jarosława Iwaszkiewicza oraz wystawę książek uczestników.

Współorganizatorami festiwalu są: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi oraz Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego.

KOMITET ORGANIZACYJNY

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELA, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYŹN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BIAŁER, TADUSZ BIAŁEWSKI, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PAN-KIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Walszy ciąg ze str. 1

nie wytrzyma, mają robić ekspertyzę. Dlaczego go nie sprawdzono wcześniej, gdy ruszała budowa?

W marcu 1980 roku stan „Lutni” kojarzy się bardziej z dewastacją, aniżeli z remontem. Nasuwa się wrażenie, jak gdyby adaptację budynku zaczynano nie wiedząc dla kogo. W środowisku spekulacji. Wśród konkurentów do nowej sali wymienia się Teatr im. Tuwima, Teatr im. Jaracza, Wydział Aktorski PWSFTiT, wcześniej chodziły słuchy o teatrze lalek, ŁDK, variete, filharmonii...

Dyrektor Wydziału Kultury UMŁ — nadzrędnego inwestora budowy — Maciej Łukowski (telefonicznie):

— Użytkownikiem będzie Teatr im. Jaracza. Innej decyzji nie ma.

Myśl o wyprowadzeniu Teatru 7.15 z sali, w której działa obecnie, pojawiła się dość dawno. Już w lipcu 1964 roku, a więc na rok przed zamianą tej samodzielnej jeszcze sceny na filię Teatru im. Jaracza, dyrekcja „Orbis — Grand”, powołując się na zarządzenia Komendy Straży Pożarnej, prosi Wydział Kultury o wykwaterowanie Teatru 7.15 z kompleksu zabudowań hotelu.

Sprawa przechodzi bez echa, by w sierpniu 1969 roku przybrać bardziej drastyczny obrót. „Grand” wypowiada Teatrowi im. Jaracza salę. Zgodnie z umową, pobyt teatru w hotelowej gościnie nie miał trwać dłużej niż pięć lat.

Teatr protestuje, w końcu zostaje podpisana nowa umowa i... prowizorka trwa dalej. Trzeba było następnych sześciu lat, by zechciano z nią skończyć.

W grudniu 1975 r. Wydział Kultury proponuje przenieść Teatr 7.15 do innej siedziby. Obiekt nigdy nie odpowiadał potrzebom teatru, jak również warunkom bezpieczeństwa przeciwpożarowego — czytamy w piśmie skierowanym do prezydenta Łodzi. — Sala budowana była jako kabaretowa. W aktualnym stanie nie ma możliwości przebudowy. Z załączonej do pisma analizy wynikałoby, że załóżmy obraz egzystencji teatru. Jest przy tym paradoksem, że przez tyle lat hotelowy teatr był jednym z najliczniej odwiedzanych przez publiczność. To tu rekordy powodzenia biła sceniczna wersja *Trędowatej*, to tu tłumy waliły na *Łeztern*, to tu — wreszcie — widownia trzeszczała w szwach podczas występów popularnych zespołów beatowych. Nieświadomi widzowie nie zdawali sobie nawet sprawy co grozi im w razie pożaru. Aktezy woleli po prostu o takiej ewentualności nie pamiętać.

W końcu jednak — po rozpatrzeniu kilku innych propozycji — wybór pada na budynek Spółdzielczego Domu Kultury i kina *Lutnia* przy Piotrkowskiej 243. Istnieje możliwość adaptacji przy stosunkowo niskich nakładach finansowych i dość wąskim zakresie prac. Zdecydowana większość pomieszczeń domu kultury i kina, a przede wszystkim — widownia i scena, układ komunikacyjny, hote, kasy, poczekalnie nie wymagają żadnych zmian — stwierdza autorytatywnie Wydział Kultury UMŁ w informacji przedłożonej władzom miasta. W lipcu 1976 roku adaptację *Lutni* zatwierdza kolegium prezydenckie. Ustala też wstępny koszt (3 mln, nie licząc technicznego wyposażenia teatru) oraz terminy — opracowanie dokumentacji: IV kwartał 1976, termin realizacji: styczeń — sierpień 1977. Gdyby udało się dotrzymać tych terminów, Teatr im. Jaracza mógłby — na swej filialnej scenie — rozpocząć sezon 77/78 już w nowej siedzibie. Na razie nastroje panują optymistyczne.

Bo też gdy się czyta założenia programowe remontu, wydaje się on drobnotką. Wrażenie to potwierdza opinia generalnego wykonawcy: Remont można było zrobić w rok.

Przeciwko ograniczonemu programowi — już na wstępie — zaprotestował inż. arch. Witold Milo z Miejskiego Biura Projektów. Ten doświadczony architekt, autor projektów nowej filharmonii i przebudowy kilku łódzkich teatrów (zrealizowano tylko Teatr im. Jaracza), zaproponował najpierw szerszy projekt modernizacji *Lutni*. Nie remontu, ale — przebudowy. Według wstępnych obliczeń miałyby to kosztować ok. 12 mln złotych.

Inż. Milo:

— Ten wydatek opłaciłby się miastu, tak jak opłacił się w Teatrze im. Jaracza, który za sumę 26 mln — w wyniku trzyletniej generalnej modernizacji — stał się właściwie nowym teatrem...

Ala pierwszy projekt odrzucono, wybierając program minimum. Start z małą sumą pozwolił zmieścić się w planie, a trzeba pamiętać, że działo się to w chwili, gdy w kraju dla inwestycji zaczynał się już okres mniej pomyślny. Ograniczenie limitów odbiło się także, niestety, na planowanych inwestycjach w kulturze. W Łodzi na przykład nie doszło do rozpoczęcia budowy nowych gmachów dla Muzeum Sztuki i filharmonii.

Inż. Milo:

— Błąd popełniono na samym początku. W *Lutni* nie można było iść na takie minimum. Kiedy twierdziłem, że będzie można pogodzić tryb awaryjny z niewielką przebudową, poproszono mnie o projekt remontu za 3 mln złotych. Sprawę „*Lutni*” potraktowano doraźnie. To doraźnie — a nie docelowe, kompleksowe planowanie — jest zresztą w ogóle znamienne dla naszego stosunku do bazy kultury...

Ala z tego, że zakres projektu nie będzie wystarczający, zdawał sobie sprawę nie tylko architekt, który w opisie technicznym zastrzegł się wyraźnie:

Obiekt nie spełnia wymagań dla potrzeb teatru stałego i zakres objęty projektem stanowi w rzeczywistości prowizorium — do czasu właściwej przebudowy...



„Z tego, co pozostało, niełatwo sklecić obraz dawnej „Lutni”...

Nie była to jednak tylko prywatna opinia projektanta. Oto w protokole z posiedzenia Rady Technicznej, odbytego w Miejskim Biurze Projektów 21 stycznia 1977 roku, czytamy:

Należy (...) zaznaczyć, że zakres adaptacji nie spełnia warunków bezpiecznej pracy zaplecza; należy przewidzieć II etap robót adaptacyjnych w kierunku zabezpieczenia niezbędnych warunków normatywnych dla teatru.

Wyjaśnijmy sobie od razu: ten drugi etap pozostał tylko na papierze.

Remont zaczynano w trybie awaryjnym. Taki tryb nie tylko w ogóle pozwolił na rozpoczęcie, ale — także — usprawiedliwiał pośpiech...



Ala po trzech latach tryb awaryjny przestał być trybem awaryjnym, a założenia wstępne — w większości zdeaktualizowały się. Gdyby remont rozwijał się normalnie, tj. w zgodzie z tymi założeniami, dzisiaj można by na serio myśleć o sugerowanym przez Radę Techniczną i projektanta drugim etapie przebudowy. Gdyby...

W hotelowym teatrze usuwa się rzędy i kolejno krzesła — poszerza drogi ewakuacyjne. Jeszcze w 1976 roku Wydział Kultury zakazał używania balkonu.

Tymczasem w budynku przy Piotrkowskiej znów zawieszono prace. Strojenie *Lutni* trwa już czwarty rok i — co gorsza — nie nie wskazuje na to, że ten rok będzie ostatni.

To, co nastąpiło od momentu zatwierdzenia minimalistycznego projektu, można dzisiaj uznać za — w przeważającej części — konsekwencję tamtych fatalnych założeń.



...Po kilka razy przerabiamy jedno. Już żal pa-trzeć na to marnotrawstwo...

Wszystkich powodów kolejnych opóźnień nie sposób tu nawet streścić. O wielu sprawach dziennikarz dowiadywał się tylko z aluzji i półsłówek, albo wręcz ze zdań wypowiedzianych prywatnie. Najdrobniejsza techniczna kwestia potrafi dziś wywołać tyle sprzecznych opinii, wzajemnie wykluczających się sądów, że aby ocenić ich prawdziwość, należałoby chyba powołać komisję specjalistów.

W rozmowach z przedstawicielem prasy przezwyciężanie odpowiedzialności stawało się często jedynym argumentem, charakterystyczną linią obrony. Dominującym tonem w tych wypowiedziach była beznadzieja, poczucie zawieszenia i braku perspektyw.

Zaczniemy od początku. Najpierw dość długo — co zresztą można było przewidzieć — stawał opór dotychczasowy użytkownik *Lutni*. Shukając argumentów trudno się nawet dziwić rozgoryczeniu, jakie wywołała decyzja o przeprowadzce. W odwołaniu od tej decyzji, skierowanym 16 marca 1977 roku do prezydenta miasta, można np. przeczytać, że na kapitalny remont i adaptację dawnego budynku... teatralnego (sic!) — do roku 1984 użytkownikiem *Lutni* była Operetka — przyp. mój. — T.S.) Łódzki Związek Spółdzielni Pracy i spółdzielnie w nim zrzeszone straciły około 20 milionów złotych. Ponadto — co się w odwołaniu szczególnie mocno podkreśla — pracownicy spółdzielczości pracowników społecznie przy adaptowaniu posesji wiele tysięcy roboczogodzin. Do niedawna jeszcze o wkładzie anonimowych współwłaścicieli świadczyła pamiątkowa tablica wmurowana w holu SDK *Lutnia*...

Ala nawet podobne argumenty na niewiele się zdały i z chwilą uzyskania nowych pomieszczeń dla spółdzielczego klubu — w październiku 1977 — *Lutnię* przekazano wreszcie generalnemu wykonawcy. Tymczasem generalny wykonawca już w kwietniu oświadczył, że tego roku nie będzie mógł wejść na budowę... Najważniejszą przyczyną opóźnień Miejskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego nr 5 (po reorganizacji w 1977 roku — Zakładu Produkcji Budowlano-Montażowej, podlegającego Kombinatowi Budownictwa Komunalnego „Wschód”) — było niedostarczenie dokumentacji. I znów trudno się dziwić, skoro na jej opracowanie dano Miejskiemu Biuru Projektów tylko trzy miesiące...

Za późno też rozpoczęto poszukiwanie podwykonawców (generalny wykonawca nie mógł podjąć się robót instalacyjnych, ani montażu urządzeń mechanicznych sceny i specjalistycznego sprzętu teatru). U progu 1978 roku przedsiębiorstwa mogły już zastąpić się pełnym portfelem zamówień — pomimo zresztą szeregu zapewnień o zrozumieniu potrzeb kulturalnych naszego miasta... Od początku też budowlanych trapiły kłopoty materiałowe i kadrowe.

— W „*Lutni*” w ogóle zabrakło przygotowania przedwykonawczego — mówi dyrektor naczelny Zakładu Produkcji Budowlano-Montażowej, Irena Osńska, która notabene nie plastowała jeszcze tego stanowiska, gdy rozpoczynano feralny remont — A przecież — dodaje nam dyrektor — wstęp do budowy zawsze rzutuje na jej dalszy przebieg.

Na liście prac generalnego wykonawcy *Lutnia* nie była zresztą żadną wybranką. Raczej — przeciwnie. Nawet dość bliskie zainteresowanie władz miasta całą sprawą nie mogło przełamać nastawienia, z jakim budowlani zwykłe traktują remonty — w porównaniu z nowymi budowlami. A i dzisiaj — w roku 1980 — *Lutnia* jest jedną z ponad 70 pozycji w planie generalnego wykonawcy, obejmującym obiekty tak różne, jak agregatownia na Chojnach, zabytkowy pałac Herbsta na Widzewie i teatr — w śródmieściu.

Do remontu *Lutni* przystąpiono więc niemal rocznym poślizgiem — w stosunku do pierwotnych założeń — a już w styczniu 1978, w miesiąc po wejściu, roboty przerwano. Potem stanęło się to regułą. Raz — z braku materiałów, kiedy indziej — z braku ludzi albo decyzji: co dalej? Coraz częściej też wstrzymywać się będzie prace z powodu kolizji między wykonawcami, braku koordynacji.

Od początku na budowie czuje się nieobecność prawdziwego gospodarza. W myśl umowy, koordynatorem jest generalny wykonawca (i nawet dostaje za to procent...). Jest, czy może lepiej powiedzieć: powinien nim być.

Linia argumentacji przedstawiciela generalnego wykonawcy jest dość typowa, zgodna z budowlaną tradycją...

— Błędy na budowie nie wynikają ze złej koordynacji — przekonuje mnie dyr. Osńska — ale z braków dokumentacji, z niedoprojektowania. Gdyby na wstępie opracowano pełny, kompleksowy plan adaptacji, nie byłoby większych kolizji ani tyłu przestojów.

Zgoda, ale skąd się biorą takie na przykład dziwne przypadki? Z pisma Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich II — zastępczego inwestora budowy (Teatr im. Jaracza nie ma już praw inwestorskich, które posiadał przy modernizacji własnego gmachu) — do generalnego wykonawcy (28 lutego 1978):

Kierownictwo budowy wykonuje prace niezgodnie z dokumentacją techniczną. Zastosowanie innego materiału, np. dźwigarów drewnianych zamiast stalowych w magazynie dekoracji wymaga adaptacji ze strony projektanta...

I jeszcze jeden cytat — z podobnego pisma (30 marca 78): Ustalono, że zastosowane dźwigary zostaną zdemontowane na koszt własny ZPBM — Wschód, a na ich miejsce zamontowane — zgodnie z dokumentacją — dźwigary stalowe...

Przy okazji jeszcze prośba o spowodowanie częstszego pobytu na budowie kierownika (dzisiaj — w marcu 1980 roku — szefuje on cześciem budowom).

Na to wszystko dyr. Osńska (wtedy jeszcze pracująca gdzie indziej):

— To nieprawda! Tam zaprojektowano za krótki dźwigar. O żadnych zmianach w technologii — drewno zamiast stali — nie mogło być mowy!

Gdyby poprzednicy dyr. Osńskiej zabezpieczyli właściwie nadzór nad budowlanymi, takie rozpaczliwe wolty w obronie honoru firmy byłyby po prostu zbędne...

Albo inny przykład. W zeszłym roku wydało się, że w garderobach aktorów nie zamontowano... umywalk i term. Dyr. Adam Koman z Teatru im. Jaracza: — Ominęło projekt! Dyr. Irena Osńska tym razem sprawę dyskretnie przemilcza, a ja nie nalegam, bo jak było — wiem. A skutki? Trzeba będzie na powrót rozkuwać ściany, wymieniać rury, zakładać kanalizację. Dodatkowa robota, dodatkowe pieniądze.

Pamiętna zima 1978/79 zaskoczyła — ma się rozumieć — i budowniczych *Lutni*. W ciągu całego 1978 roku generalny wykonawca nie zdołał wymienić dachu i teraz w budynku — pełnym dziur, wybitych szyb, pozbawionym szczelnego dachu — jest zimno: woda dostaje się do piwnic i przewodów wentylacyjnych, gdzie zamraża, powodując awarię. Pękają także przewody CO.

W tym nawale nieszczęść wykonawcy zaczynają się po prostu gubić. Budowa przerosła samą siebie i na przełomie 1978/79 nie jest to już ani szereg prac adaptacyjnych (jak to skromnie określano w założeniach), ani nawet remont ogólny.

Coraz częściej też dochodzi do kontrowersji między zainteresowanymi stronami. Nie została wypracowana jakaś wspólna metoda działania, czego skutki — widać teraz, gdy się wali i pali... Narada goni naradę (dyr. Koman z Teatru im. Jaracza: — Gdyby równie regularnie pracowano co obradowano, remont dawno by się skończył...). Tygodniami odwołuje się decyzje — np. w sprawie wentylacji.

Stare mury stopniowo odkrywają swoje tajemnice. Niespodziewane awarie, kolizje, zalania — mnożą się. W takiej sytuacji myśl, czy nie lepiej było zacząć budowę nowego teatru, przestaje trącić herezją. Ale jest już za późno, teraz trzeba po prostu brnąć dalej.

Lista dodatkowych, nie przewidzianych w projekcie robót stale rośnie. Zdarza się, że gdy jedno się robi, drugie — niszczy. Tak właśnie — przy demontażu — zniszczono boazerię (na widowni), którą trzeba było zdjąć ze względu na roboty instalacyjne, chociaż — według wstępnych założeń — zasadniczo wystrój wnętrza, poza szatniowym holem, miał pozostać nie zmieniony. Teraz projektuje się nowy.

Trzeba likwidować skutki zimy, awarii, kolizji, kradzieży, błędów w dokumentacji i zwichniętego wandalizmu. Naprawiać rozkradzioną rozdzielnię elektryczną, wymieniać podłogę w holu na parterze, zdewastowane urządzenia sanitarne, a może i krzesła na widowni. Nową listę robót złożyć można z życzeń Teatru im. Jaracza, choć ten — co prawda — z szeregu rzeczy niezbędnych w normalnie funkcjonującym teatrze musiał zrezygnować już na wstępie. Coś niecoś jednak udało mu się w trakcie remontu wymusić — na przykład stalowe pomocty dla reflektorów nad widownią — aby oświetleniowcy nie musieli w czasie spektaklu przystawiać do ściany drabiny... Już dzisiaj wiadomo, że warunki w teatrze dalekie będą nie tylko od marzeń i pragnień, lecz nawet od obowiązujących norm.

Dość powiedzieć, że normy przewidują 4-6 metrów kwadratowych powierzchni na jednego aktora. W *Lutni* będzie 1,7 metra. Normy przewidują również 2 metry kwadratowe powierzchni rekreacyjnej na każdego widza, tu widz otrzyma pół metra. I tak dalej...

W styczniu 1980 roku wartość dodatkowych prac oceniono na 4,5 miliona. Jeszcze wiosną 1979 roku wynosiła ona 1,2 mln. W tym roku koszt adaptacji (tak zważony na wstępie) osiągnie, a może nawet przekroczy tę sumę, która — gdyby zaufano pierwszej propozycji inż. Milo — wystarczyłaby na przebudowę teatru. Ale tu już ze sfery faktów wkraczamy w sferę domysłów... Do tej pierwszej sfery należy natomiast smutna konstatacja: przykład *Lutni* świadczy raz jeszcze, że najdroższe są te budowy, które zakłada się jako tanie (czytaj: przesadnie tanie).

Skoro na budowie brak wyraźnego postępu, widoczne zmiany zaobserwować można tylko w terminach oddania budynku: lipiec 1977 (to już bajka...), 10 sierpnia 1978, 30 listopada 1978, 28 lutego 1979, 31 lipca 1979, 15 listopada 1979, 31 marca 1980 (prace w generalnym wykonawstwie) — żaden z tych terminów nie został dotrzymany.

Dyrektor Irena Osńska:

— Dziś byłby aktualny termin: październik 80, gdybym dostała wreszcie pełną dokumentację na rozszerzony front robót. Ale ja od dłuższego czasu nie mogę się doprosić nawet „protokołu konieczności”...

Powinniśmy chyba wreszcie skończyć z ciągłym projektowaniem na budowie, z dawkowaniem środków, z fatalną dyscypliną. Powinniśmy traktować się jak partnerzy. Bo jak tak dalej pójdzie, to obawiam się, że nim „*Lutnia*” wyremontujemy, trzeba będzie zrobić nowy remont... Musi w końcu urodzić się pełna decyzja na temat przyszłości tej budowy... Ale na razie tylko krąży piteczki.

Remontowy ping-pong trwa...

TOMASZ SOLDENHOFF
Foto: R. Łucyszyn

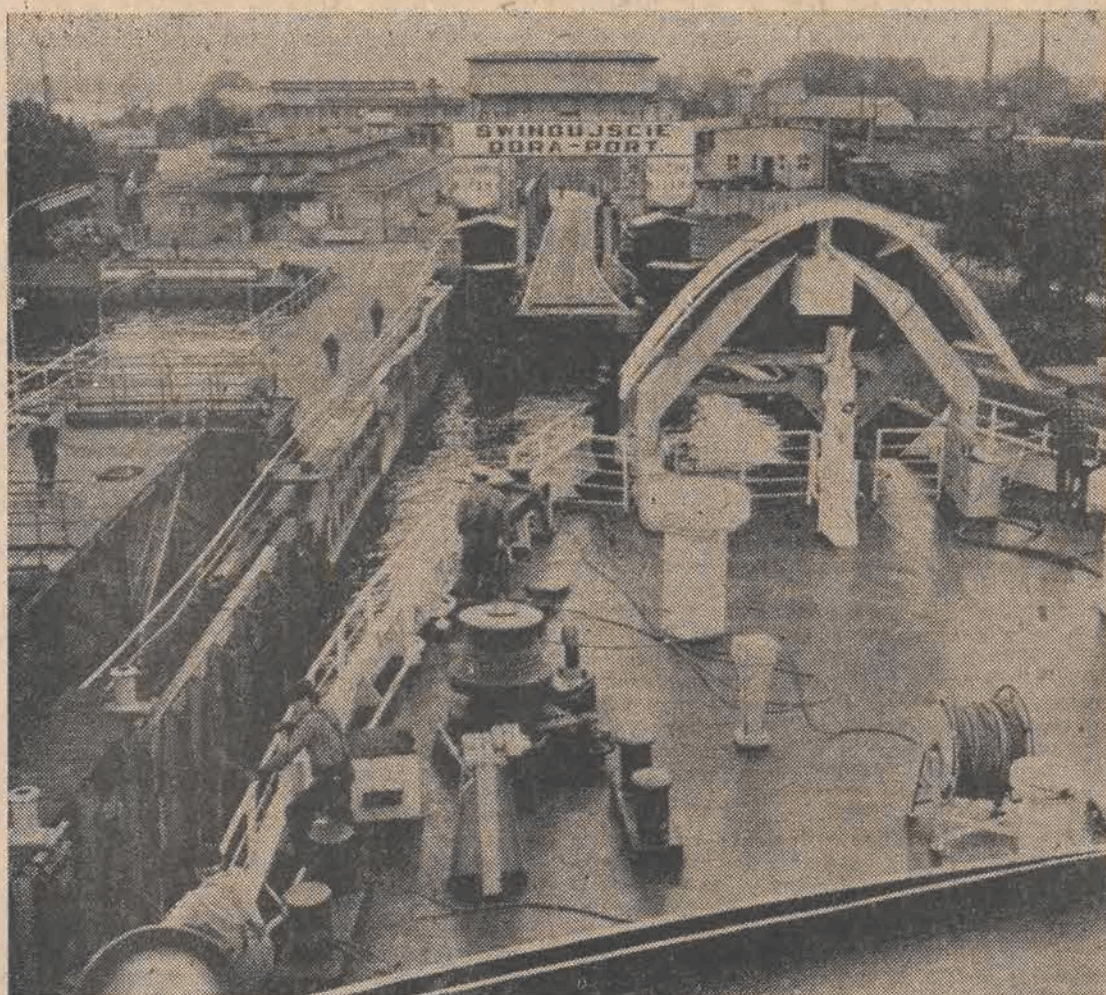


Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

Nie bez znaczenia był w tym przypadku chyba fakt inauguracji połączenia z Wielką Brytanią właściwie po sezonie, kiedy ruch turystyczny odczuwalnie maleje. Specjaliści twierdzą, że z decyzją zejścia z tego szlaku należało jeszcze trochę poczekać i przyzwyczaić konkurencję do swojego istnienia. Potwierdzeniem tego jest chyba inny, obcy armator, który uruchomił podobną linię, robiąc na tym całkiem dobry interes.

Turystyka morska — to od razu daje się zauważyć — nie znalazła tylu amatorów, ilu się spodziewano. I właściwie trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało. Z jednej strony niby spragnieni jesteśmy morskich wiozów, a z drugiej aktywizacja grup na poszczególne wycieczki przebiegała i przebiega nadal z dużymi kłopotami.

W powszechnej opinii ceny na poszczególne imprezy są zbyt wygórowane. Oto konkretne przykłady z Morskiego Biura Podróży w Łodzi: wycieczka do Helsinek kosztuje około 3 tys. złotych, a koszt paszportu wynosi — stała taryfa — 2.100 zł, w odniesieniu do rejsów do Karlskrony: koszt „czysty” imprezy skalkulowano na 1.919 zł. Podobnie będzie jesienią z planowanymi rejsami do Sztokholmu — cena wycieczki około 2000 zł plus paszport.

Mało zrozumiała i wzbudzająca wiele kontrowersji jest także sprawa kieszonkowego, któ-

rego PZB swoim klientom po prostu nie zapewnia. Innymi słowy: pasażer — turysta w Kopenhadze czy Helsinkach jest bez przyszłowiowego centa przy duszy. Preferowani są więc ci, którzy mają konta dewizowe, ale to znowu kładzie z miejsca całą ideę rejsów popularnych i dostępnych dla każdego.

Pomimo rozlicznych prób załatwienia obydwu spraw, do dzisiaj nic konkretnego nie wiadomo. Uściślając: pod presją klientów przemyśleliśmy się do bliższej współpracy z „Orbisem”, który kieszonkowe gwarantuje wszystkim swoim klientom. Próbowano także nawiązać kontakty z innymi przedsiębiorstwami branży turystycznej, które prowadziły sprzedaż wycieczek PZB. W tym przypadku szybko okazywało się, że do kosztów imprezy (plus paszport) doliczają one sobie szereg najprzeróżniejszych dodatków, powodując dalszy wzrost ceny rejsu i istną lawinę pretensji, oczywiście pod adresem PZB, która akurat w tej kwestii najmniej miała do powiedzenia...

Dyrektor Polskiej Żeglugi Bałtyckiej — Jan SZYMAŃSKI powiedział niedawno, że zaszła konieczność zmiany profilu działalności Morskich Biur Podróży. Nowym polegać ma przede wszystkim na tym, że staną się one w najbliższym już czasie wzorcowymi i prężnymi ośrodkami reklamowymi armatora, aktywizując przy tym swój teren pod kątem wycieczek morskich. Cała reszta (wszystkie formalności, dojazd do bazy promowej, przewodnicy, kieszonkowe itp.) należeć będzie właśnie do „Orbisu”. Czy to zda egzamin? Zobaczymy...

Kończąc kwestię ruchu pasażerskiego (w roku ubiegłym na polskich promach przewieziono w sumie ponad 215 tys. osób) warto chyba przypomnieć, że porozumienie pomiędzy „Textilimpexem”, „Skórimpexem” a Polską Żeglugą Bałtycką — o czym swego czasu pisała prasa łódzka — nadal nie może nabrać mocy wykonawczej. Niby wszyscy są zainteresowani, niby koryzści płynące ze sprzedaży artykułów pochodzących z obydwu central w sklepach na pro-

wać ładunki rzędu 1 mln 200 tys. ton. Niewielkie nawet nakłady inwestycyjne w którymś z nich mogą wytknąć te zwielokrotnić. Sam Kołobrzeg, niby centrum przeładunkowe środkowego wybrzeża — na dobrą sprawę nie ma żadnych stałych portowych urządzeń przeładunkowych. Ot, w razie potrzeby pod burty cumującego statku podejżdża samojezdny dźwig i wykonuje potrzebną pracę. Co tu zresztą biadolić nad możliwościami przeładunkowymi,

RYSY NA BŁĘKICIE

mach są oczywiste, a jednak efektu nie widać.

Bezspornym faktem wydaje się w tym wszystkim nasz apetyt na morskie wiozów. Przecież ci, którzy zdecydowali się na taką wycieczkę, chyba nie pożałowali. Wystarczy zresztą zajrzeć do korespondencji kierowanej pod adresem Morskiego Biura Podróży w Łodzi — właściwie z każdej wyprawy przychodzą podziękowania.

Promy, pasażerowie, turystyka — to tylko jeden aspekt działalności kołobrzesckiego armatora. Osobnego omówienia wymaga flota towarowa, użytkowana również przez PZB. Aktualny stan posiadania to szesnaste jednostek o łącznym tonażu 12399 DWT, przejętych od Polskich Linii Oceanicznych i Polskiej Żeglugi Morskiej. Nie da się ukryć, że w przeważającej większości — najogólniej mówiąc — są to statki o wysokim stopniu zużycia. Najmłodsze z nich, dziewięćlatki (jednocześnie największe — a 1070 DWT) przysparzają chyba najmniej kłopotów. O pozostałych nie wypada w ogóle mówić — jeżeli nawet uda się uzyskać dla nich tzw. klasę na najbliższe cztery lata, to i tak w roku 1984 definitywnie będą musiały zakończyć służbę pod biało-czerwoną banderą. Przecież aż ośiem z nich wybudowano jeszcze w końcu lat pięćdziesiątych...

Wszystko wskazuje na to, że ta ponura prognoza stanie się rzeczywistością i już za cztery lata stan posiadania floty towarowej PZB wyniesie... trzy jednostki. Nie można jednak w tym przypadku stawiać nikomu zarzutu, że w swoim czasie nie pomyślano o tym i nie dopilnowano całej sprawy. O potrzebie odbudowy floty trampowej mówi się w Kołobrzegu od dawna. Tylko jak można planować, kiedy ostatnio „CENTROMOR” przysłał oficjalne pismo, w którym zawiadamia, że Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego nie przewiduje w latach 1981—1985 (!!!) nowych jednostek dla armatorów krajowych. I to jest po części odpowiedź na pytanie, dlaczego — mimo tak konkretnych i udokumentowanych założeń — nie doczekaliśmy się do tej pory tak głośno zapowiadanej aktywizacji portów środkowego wybrzeża.

A przecież w tym przypadku gra toczy się nie o złotówki czy tony, ale o miliardy złotych i miliony ton. Tylko trzy porty: Darłowo, Kołobrzeg i Ustka mogą w skali roku przełado-

wać samo wejście do tego portu nastrożać niewielkim nawet jednostkom sporo kłopotów...

Dziwnie wydaje się też — obserwując nasz pęd do chwywania dewiz za wszelką cenę — że nie przekonuje nikogo liczba 17 mln zł dewizowych, które zaoszczędzono w minionym roku przewożąc własną flotą ładunki central handlu zagranicznego. Nie przeraża także nikogo suma 2 mln zł, jaką płaci się każdego roku za remont każdej z tych szesnastu jednostek, ani 7 mln zł za tzw. remont klasowy, któremu muszą się one obowiązkowo poddać co cztery lata. Może szczęśliwie uda się sfinalizować kontrakt ze stoczniami rzeczonymi? Realny wtedy byłby chyba zamiar świadczenia usług przewozowych dla krajów RWPG, które mają przecież znaczną ilość ładunków dla tego typu jednostek, obsługujących porty nie przyjmujące oceanicznych gigantów.

Ratunek dla floty towarowej PZB może przyjąć z kilku stron. Przede wszystkim zaś ze stoczni krajowych, które od pewnego czasu wyspecjalizowały się w usługach dla zagranicznych odbiorców. Z ubolewaniem mówi się o ograniczonych zdolnościach i wieloletnich, już podpisanych kontraktach.

Nie ma łatwego życia błękitny armator z Kołobrzegu. Poszukując bezustannie najwłaściwszego modelu organizowania turystyki morskiej, brykając się z wieloma innymi kłopotami — stanowi on przecież jedno z wielu ogniw naszej krajowej gospodarki morskiej.

A że nie jest to w tym łańcuchu ogniw najmocniejsze... Cóż, błędem byłoby upatrywanie przyczyn takiego stanu rzeczy w samym tylko Kołobrzegu.

SLAWOMIR DARZYCKI

OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 1

KILKA INFORMACJI WSTĘPNYCH

Dystrybucja gazu bezprzewodowego w Zgierzach zajmuje się Zakład Gazyfikacji Miejscowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkalnej. Jego rejon obsługi obejmuje, oprócz samego miasta, tereny dwóch gmin — Zgierz i Aleksandrowa. W sumie — ponad 8 tys. abonentów.

Jedną butlą 11-kilogramową gazu wystarcza, w zależności od potrzeb abonentów, na 20—30 dni. To oznacza, że miesięcznie abonenci potrzebują ok. 10 tys. butli. Gaz dostarczany jest zazwyczaj w ciągu 3—7 dni od złożenia zamówienia przez abonenta, transportem samochodowym MPGKiM przez 6 kierowców — konwojentów, specjalnie w tym celu przeszkolonych. Są także abonenci uprzywilejowani. W rejonach, w których aktualnie instaluje się urządzenia na gaz ziemny, sieciowy, mieszkający są pozbawieni kuchni węglowych. Abonenci (np. z osiedli: Kolejowa, Okrzei, Spacerowa), zgodnie z decyzją prezydenta miasta, winni otrzymać gaz w pierwszej kolejności, w terminie 1—2 dni po złożeniu zamówienia.

Dla porządku dodajemy jeszcze dwie informacje. Za jedną butlę gazu, łącznie z kosztami transportu, abonent płaci 112 zł. Realizacja dostawy winna być kwitowana przez

abonenta na odpowiednich dokumentach odbioru, z uwzględnieniem faktycznego terminu dostawy.

Tyle informacji zasadniczych. Wydawałoby się, że wszystko jest jasno określone i z dostawami gazu nie powinno być większych kłopotów. Mogłoby tak być. Ale tak nie jest.

LISTA SKARG

abonentów korzystających z usług Zakładu Gazyfikacji MPGKiM w Zgierzach jest duża. Oto szczegóły.

Powszechnym zjawiskiem są permanentne opóźnienia w dostawach gazu, o 2—3 lub nawet więcej dni. Niewiele pomagają monity. W przypadku reklamacji, najczęściej podawane są takie wyjaśnienia niedotrzymania uzgodnionego terminu dostawy: wyjątkowo duża liczba zamówień, pomyłka w terminarzu dostaw, awaria samochodu dostawczego, nieobecność kierowcy z powodu choroby, awaria w rozlewni gazu itp. W zbyt wielu przypadkach wyjaśnienia owe, delikatnie mówiąc, mijają się z prawdą. Przyczyn opóźnień są najczęściej zupełnie inne, ale o tym później.

Jeśli prześledzić, choćby pobieżnie, terminarz dostaw czy trasy samochodów dostawczych, można dojść do jednego tylko wniosku, mianowicie, że w zgierskiej gazowni nie obowiązują żaden harmonogram dostaw. Bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że z dwóch

abonentów zamieszkałych w tym samym domu, mających wyznaczone identyczne terminy dostaw, jeden otrzymuje gaz, drugi zaś nie? Jak to się dzieje, że w przypadku reklamacji, na odwrót, w tym samym terminie jeden abonent dostaje aż 2, a niekiedy i 3 butle?

Często abonenci bywają zaskakiwani innymi niespodziankami. Bywa, że butla zamiast wystarczyć np. na 30 dni, starcza ledwie na 15, albo i nie. W przypadku reklamacji takiemu „pechowcowi” wyjaśnia się, że najpewniej butla była zanieczyszczona, albo też w rozlewni nie napełniono jej należycie, albo znów gaz był marnej jakości. Na takich wyjaśnieniach się kończy, a o zwrocie pieniędzy raczej nie ma mowy, choć abonent zapłacił za całą butlę gazu, a otrzymał tylko połowę.

Kolejna sprawa to kwitowanie odbioru gazu. Bardzo rzadko abonent otrzymuje rachunek dostawy i tzw. listę dostaw do podpisu. Któż więc składa za abonentów wymagane podpisy? Ano, kierowcy przywożący gaz. Rzekomo dlatego, że większość abonentów to analfabeci nie umiejący nawet skreślić własnego podpisu! Sedno sprawy zaś tkwi w tym, jak się wydaje, że taka praktyka utrudnia, lub wręcz uniemożliwia kontrolę realizacji dostaw.

Jeśli znikąd abonent chce sobie zapewnić względnie rytmiczne i terminowe dostawy gazu, zmuszony jest



Foto: R. Lucyszyn

do „odpalania” za tę przysługę drobnych napiwków dostawcom. Zwykle, dla zaokrąglenia rachunku, dostawcy biorą 150 zł za butlę, zamiast 112. Za takie napiwki obiecują też gaz „lepszej jakości”, który wystarczy na dłużej, nie smoli garnków, ma też ponoć więcej kalorii niż gaz „konwencjonalny”...

Co bardziej niecierpliw abonent

NA

może sobie załatwić dostawę gazu w ogóle poza kolejką, bez składania zamówienia, bezpośrednio u któregoś z kierowców, za jedynie 180—200 zł. Korzystają z tego zwłaszcza ci abonenci, którzy mają większe potrzeby, niż możliwości załatwienia ich legalnego, z rozdzielnic. Zwłaszcza kwaciarze, hodowcy, właściciele prywatnych zakładów rzemieślniczych, wykorzystujący gaz w celach produkcyjnych.

Bywają też „dzicy” odbiorcy gazu, w ogóle nie zarejestrowani w Zakładzie Gazyfikacji. W tym przypadku stawka sięga już 250 zł za butlę. A

Doradztwo naukowe jest stare jak świat, a los miedra głoszącego prawdę, już przed wiekami nie był godny pozarządowego. To przecież samego Platona za propagowanie filozoficzno-politycznych idei o istocie państwa wzorcowego rozsierdził władca Syrakuz, kazał przemocą wywieźć z miasta i sprzedać w niewolę. Kto wie, co stałoby się z nim dalej, gdyby nie pomoc przyjaciół. A był to dopiero rok 388 p.n.e.

Historia uczy nas jednak, iż umiowanie prawdy przez uczonych było silniejsze niż lek, nie mówiąc już o tym, że samymi przedstawicielami władzy coraz trudniej było obejść się bez rad uczonych. Przykłady takie znają już studenci pierwszych lat, darujmy więc sobie skłarskie repetycje.

Stoimy dziś w miejscu, w którym współzależność między nauką, polityką i społeczeństwem jest faktem nieodwołalnym, a we wszystkich ważniejszych uchwałach i decyzjach o charakterze strategicznym naukę traktuje się jako jeden z najbardziej dynamicznych czynników rozwoju społeczno-gospodarczego.

W Polsce ożywienie dialogu polityków z uczonymi obserwujemy mniej więcej od lat 60-tych, a w latach 70-tych po VI Zjeździe partii i II Kongresie Nauki wyraźnie wzrosła liczba rad naukowych, komitetów i komisji ekspertów. Szanujące się instytucje, bez względu na zasięg oddziaływania, uważają za punkt honoru organizować co pewien czas sesje z udziałem przedstawicieli nauki, a znaczną grupę naukowców łatwiej spotkać w pociągu, niż w uczelni.

Doniesienia o owych konferencjach skrupulatnie odnotowywane przez dzienniki nieodparcie kojarzą mi się z kroniką życia towarzyskiego, której brak najwyraźniej odczuwamy. Mogę z nich bowiem dowiedzieć się, który z profesorów zaszczylił swoją obecnością konferencję i z jakim wystąpił referatem. Trudno natomiast mi dociec, czy znaczny uczyński wniósł swoją obecnością na obradach coś nowego, czy też tylko dodawał im splendoru. Można dodawać blasku konferencjom społecznie, można też przyjąć za referat honorarium. Honoraria otrzymuje się również za ekspertyzy, natomiast udział w radach naukowych i komitetach ma charakter społeczny, rzecz można honorować.

EKSPERTEM BYĆ

O zostaniu ekspertem nie marzy młody naukowiec, w przeciwnieństwie do Maryli Rodowicz, której śni się być damą. Jak jednak mawiają ludzie bywali i doświadczeni, damą trzeba się urodzić. Ekspertem natomiast może zostać każdy, kogo o to poproszą. Od uczciwości i rzetelności doradcy, od jego osobistej odwagi, umiejętności stawiania pytań i problemów zależy więc wartość przygotowanej przezeń opinii.

Były co prawda w Polsce w latach 60-tych próby przygotowania statutu doradcy przez ówczesny Komitet Organizacji i Zarządzania Statutów, oparty o QNZ-owski kodeks etyczny doradców, zawierałby pewne podstawowe kryteria, którym musiałby sprostać każdy ekspert. Postulowano także aby doradcy przechodzili specjalne szkolenie i składali przysięgę tak, jak na przykład tłumacze przysięgli, dla podkreślenia odpowiedzialności pełnionej funkcji. Propozycje takie zostały założone rejestru doradców, zarówno osób prywatnych jak i instytucji, co dla jednostek oddalonych od centrów naukowych byłoby niezmierznie pożyteczne. Obydwa projekty spoczywały jednak głęboko w szufladach, a może już dawno przemazano je na makulaturę. I podczas, gdy w świecie ekspertyzami zajmują się wyspecjalizowane firmy i kregi osób, w Polsce doradztwo uprawia się jako „hobby”. Stąd też wzięło się zapewne powiedzenie, iż ekspert to taki sam pracownik jak każdy inny, tylko na delegacji.

Doradztwo przynosi efekty, jeśli obydwie strony pracują w atmosferze wzajemnego zaufania. Oczekujący opinii ma prawo spodziewać się informacji prawdziwej, nawet najbardziej dla niego niekorzystnej. Jednakże ekspert musi mieć pewność, iż bez względu na to, jaką wersję raportu przedłoży, nie znajdzie się w sytuacji Platona.

— Spore niebezpieczeństwo tkwi w oportunistycznych postawach samych uczonych — mówi doc. dr Zdzisław Prochowski, kierownik Zakładu Ekonomiki Budownictwa i Inwestycji Uniwersytetu Łódzkiego, członek wielu rad naukowych i komisji doradczych. — Szczególnie jest to widoczne w naukach społecznych, które znam najlepiej. Sami jesteśmy surowymi cenzorami tego, co robimy. I pilnujemy się przed tym, co może nam sprawić kłopoty. Jest to problem odpowiedzialności i niezależności moralnej pracownika nauki, a także odwagi, z którą nie jest najlepiej.

— Trzeba jednak pamiętać i o tym, iż podejmujący decyzję nie mają moralnego obowiązku korzystania z rad, których zasięgają —

największym skrócie technologia ta polegała na wznoszeniu budynków o jednolitej konstrukcji tzw. płytowo-słupowej. Prefabrykacja budynków całkowicie na placu budowy pozwalała na bardziej ekonomiczne wykorzystanie materiałów budowlanych, zwłaszcza stali i betonu i mniejsze koszty transportu. Budownictwo szkieletowe jest o 20 proc. tańsze od „wielkiej płyty”, pozwala na elastyczniejsze rozwiązania architektoniczne i większy komfort mieszkań. Innymi słowy, stosując tę technologię, można by uzyskać więcej mieszkań o wyższym standardzie za te same pieniądze. Ponadto zastosowanie nowej technologii pociąga za sobą kolosalne oszczędności energetyczne. Dzięki zwiększeniu izolacyjności ścian o 2/3, a przez to zmniejszeniu strat ciepłych na ogrzewaniu budynków mie-

lizacja zakładu przemysłowego” wydanej w 1964 roku. Postulaty autora można odnaleźć siedem lat później w uchwale Rady Ministrów w sprawie lokalizacji inwestycji (Monitor Polski z dnia 8 czerwca 1971 roku, poz. 198).

Gorzka to jednak satysfakcja dla autora, zwłaszcza w świetle słynnego hasła ojca pozytywizmu, A. Comte'a: „Wiedzieć, aby przewidywać, przewidywać, aby działać”.

POZORNOSC DZIAŁAŃ

Badania naukowe, ekspertyzy i opinie przeprowadzone przy założeniu, że ich wyniki będą wykorzystane przy podejmowaniu decyzji, podczas gdy na te decyzje nie mają już żadnego wpływu — to w prostej linii działania pozorne. Działania te definiował na łamach czasopism naukowych m.in. „Kultury i Społeczeństwa” trzy lata temu socjolog łódzki, prof. dr Jan Lutyński. Z obszernej definicji przypomnę tylko, iż działania pozorne to takie, „które ze względu na swój rzeczywisty przebieg lub bezpośredni cel — są inne, niż na to wyglądają”. Kiedy więc instytucje zlecają przeprowadzenie badań naukowych, aby wykazać, iż w swej działalności opierają się na przesłankach naukowych i cenią sobie autorytet naukowy, a w rzeczywistości nie zamierzają z nich korzystać, badania naukowe mają charakter działań pozornych, a ich zlecciodawcy potrzebują rad ekspertów, jak to dowcipnie ujmuje prof. Janusz Gościński, podobnie jak kobieta lustra. Po prostu, aby móc się w nim przejrzeć.

Nieomal każdy z członków różnego typu rad i komitetów miał do czynienia z działalnością pozorną. Poczynając od zasięgania opinii członków rady na temat budowy nowej inwestycji, kiedy już dawno postanowiono ją budować, poprzez propozycje nowych asortymentów, kiedy przedsiębiorstwo nie było ich w stanie wyprodukować, aż do dublowania raportów na zlecenie komitetów technicznych. Większość członków rad naukowych, działających przy jednostkach gospodarczych ma obecnie świadomość, iż pracuje na zapas, gdyż proponowane przez nich rozwiązania technologiczne mają niki możliwości zastosowania w praktyce.

Obserwując niekiedy obrady rad naukowych odnośnie wrażenia, iż wszyscy obecni zawierają nie pisaną umowę uczestniczenia w działaniach zgola niepotrzebnych, bo aż tak oczywistych, że proszą się nie o gremialne obrady, lecz po prostu o rozsądne decyzje, oparte o szczytę zdrowego rozsądku, rozumu, który niekiedy nazywany bywa chłopskim. Właśnie, do wykorzystania owego zdrowego rozsądku tkwiącego w narodzie odwoływał się na ostatnim plenum OK P.N. prof. Jan Szczepański, którego nikomu w Polsce chyba nie przedstawiać nie trzeba. Widać w tym przemówieniu, iż prof. Szczepański doświadczył jako naukowiec apele do środowiska naukowego, natomiast martwi, jako socjolog i obywatela, brak mechanizmów skłaniających ludzi do realizacji tych apele.

Rad naukowych i komisji ekspertów powstaje coraz więcej. Niewiele jednak wiemy o ich funkcjonowaniu, o tym, jak naprawdę pracują, jakie kontrowersyjne poglądy reprezentują ich członkowie i jakimi argumentami operują. Czyja wreszcie koncepcja przeważa i dlaczego.

Czy tego typu informacje nie byłyby istotne dla wyrobienia poglądów w społeczeństwie o rzeczywistym wpływie nauki na życie społeczne i gospodarcze? Ujawnianie poglądów ekspertów i ich publiczna obrona przyniosłoby również korzyści samej nauce, która odczuwa błąd rzetelnej krytyki. Wyobraźmy sobie również sytuację, w której zamawiający ekspertyzy na wysokim szczeblu motywowałaby publicznie przyczyny ich odrzucenia, lub przyjęcia. Czyż tego typu praktyki nie zmniejszyłyby działań o charakterze pozornym, działań fikcyjnych i „lipnych”, które rozprzestrzeniły się w... ojczyźnie nauki o sprawnym działaniu?

MALGORZATA GOLICKA

POZORY PODPARTE AUTORYTETEM

przypomina prof. dr Janusz Gościński z Uniwersytetu Łódzkiego, doświadczony ekspert wielu międzynarodowych komisji. Między innymi na zaproszenie Międzynarodowej Organizacji Pracy prof. J. Gościński pełnił funkcję doradcy przy Rządowym Ośrodku Zarządzania Gospodarką i Doskonalenia Kadr w Nigerii.

To prawda, ale też nie dziwny się, iż eksperci, z których porad nie skorzystano co najmniej kilka razy, nie garną się do dalszej pracy. Tym bardziej, że towarzyszy im świadomość zmarnowanego czasu i wysiłku, zwłaszcza, gdy mają pewność, że działali w słusznej sprawie.

GŁOS WOŁAJĄCYCH NA PUSZCZY

Bez większego trudu znalazłam takie przykłady w łódzkim środowisku. Ot, choćby memoriał Polskiego Towarzystwa Matematycznego, skierowany trzy lata temu do Ministerstwa Oświaty w sprawie programów nauczania w 10-lacie. Memoriał przygotował również łódzki matematycy i, o ile mi wiadomo, do tej pory nie otrzymali odpowiedzi. A sprawa, w której występowali, była niebagatelna. Dotyczyła m.in. rewizji programów i ilości godzin nauczania matematyki w 10-lacie. W porównaniu ze starymi programami, a także z programami naszych zagranicznych sąsiadów, ilość godzin matematyki poważnie zmniejszono.

Nie wiem też, co bardziej podziwiać: czy spokój prof. dr Tadeusza Godyckiego-Cwirko z Politechniki Łódzkiej, znanego w świecie specjalisty z zakresu konstrukcji żelbetonowych, jednego z autorów ekspertyzy dla Komitetu „Polska 2000”, czy też krótkowzroczność resortu budownictwa? W 1975 roku prof. T. Godycki, wspólnie z mgr inż. Ludwikiem Andrzejewskim z łódzkiego „Inwestprojektu” opracowali nową technologię budowy budynków mieszkalnych. W

szkalnych zbudowanych w 5-lacie można by zaoszczędzić 11 milionów ton węgla.

Obliczenia dokonane na podstawie analizy obecnej sytuacji w budownictwie oraz tendencji światowych (budownictwo szkieletowe jest rozpowszechnione m.in. w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i w krajach skandynawskich) wykazały absurdalność gospodarki finansowej naszych przedsiębiorstw budowlanych, którym opłaca się budować jak najdrożej.

Prof. Godycki-Cwirko i inż. Andrzejewski sugerowali zmiany organizacyjne ułatwiające wykonanie i wprowadzenie do praktyki nowej technologii.

Profesor skrupulatnie zgromadził dokumentację prasową. Podczas naszego ostatniego spotkania obliczyliśmy, iż wkrótce będzie obchodzony 5-letni jubileusz zmagania z wielką płytą. Nie pomogły ani kampanie prasowe, przeprowadzone w 1976 roku przez „Życie i Nowoczesność” i w 1978 roku przez „Perspektywy”, ani dyskusje wybitnych specjalistów. Tymczasem tezy na XII Plenum KC PZPR „O dalsze umacnianie roli nauki w społeczno-gospodarczym rozwoju kraju” wyraźnie mówią: „Należy intensyfikować prace nad nowymi procesami technologicznymi i robotami budowlano-montażowymi i instalacyjnymi. W sumie napięty program budownictwa mieszkaniowego ma szansę realizacji tylko wtedy gdy w wyniku postępu naukowo-technicznego uzyska się zmniejszenie pracochłonności o około 40-45 proc., obniżenie ciężaru budowlanego i materiałochłonności o około 30 proc. oraz skrócenie cyklu realizacji o około 24 proc. w stosunku do obecnego poziomu”.

Czyż wymaga to jakichkolwiek komentarzy? Natomiast swego rodzaju satysfakcję może odczuwać na przykład wspomniany już doc. Zdzisław Prochowski, autor pracy pt. „Loka-

jeśli taki „dziki” klient życzy sobie mieć nie tylko gaz, ale i butle, czy nawet kilka butli na zapas, to też żaden kłopot. Cena 1 butli wynosi tylko 3 tys. zł. Bywa więc, że butle „gina” podczas transportu. Kierowca, który „zgubił” butle, wpłaca za nią ekwiwalent do kasy gazowni, ale to dla niego zupełny drobiazg. Stać go na to. I tak wychodzi na swoje.

GAZIE

Ostatnio także notuje się włamanie do magazynów gazowni i kradzież większych ilości butli. Znajdują one nabywców. Szeregi dzikich odbiorców gazu rosną. Gaz ulatnia się w coraz większych ilościach. Gaz się ulatnia. Systematycznie Jak? Gdzie? Za ile? O tym przeciętny abonent gazowni nie ma zielonego pojęcia. Ale na własnej skórze dotkliwie odczuwa skutki owego „ulatniania” — opóźnienia w dostawach, kiepską jakość gazu, nie lepszą jakość usług gazowni i wszelkie inne niedostatki gazowej dystrybucji.

ANATOMIA KANTU

Udało mi się dotrzeć do człowieka znakomicie zorientowanego w sprawie, byłego pracownika gazowni. Jego nazwiska nie mogę ujawnić ze względów oczywistych. Nie jest to zresztą takie istotne; znacznie bardziej ważne są tu informacje, jakie udało mi się od niego uzyskać. Oto anatomia kantu.

Już przy niedużych nawet zakłóceniach w dystrybucji gazu łatwo jest wymusić „napiwki” za terminowe dostawy, za gaz „lepszej jakości”, za przyspieszenie dostaw, za zmianę terminów. Terminy dostaw łatwo jest zamienić. Np. abonent, który miał zamówioną dostawę na piątek przed wolną sobotą, otrzymuje gaz dopiero w poniedziałek lub wtorek. Co się dzieje z jego butlą? Otrzymuje ją inny abonent, który wprowadził miał przyręczoną dostawę dopiero na wtorek, ale za parę złotych zapłacił sobie przyspieszenie. Dwóch abonentów, dwie butle. Wszystko się zgadza, oprócz terminów i kasy. Ale „napiwki” kasowe łatwo jest odprowadzić do prywatnej kieszeni, a w dokumentach dostaw też nie tak trudno „zafiksować” właściwe terminy, skoro odbiór gazu kwituje kierownicy konwojenci, a nie abonenci. Falszywe wpisy, fałszywe podpisy, to drobiazg. Ważny jest zysk. Tyle, że tutaj zyski są stosunkowo małe, ledwie 30-40 zł na butli.

Znacznie większe zyski można osiągnąć, sprzedając gaz zupełnie poza kolejką, poza rejestrem, czy „dziki” odbiorcom. Tylko, że tutaj trzeba już „wygospodarować” parę butli, poza planem. Jak? Metoda jest kilka. Wymienię tylko dwie, najczęściej stosowane.

Jedną z nich to „rundka”. Założmy, że mamy do obsługi 30 abonentów, z których każdemu jedna butla gazu wystarcza na miesiąc. Do zagospodarowania jest więc 30 butli. Ale do „regularnych” abonentów dochodzi jeszcze jeden „dziki”. Jak więc rozdzielić 30 butli na 31 klientów? Klientów ustawia się w tzw. szeregu czasowym. „Dziki” odbiorca otrzymuje butlę w terminie przypisanym pierwszemu „regularnemu” abonentowi. Ow abonent zaś dostaje swój przydział o 1 dzień później, w terminie „zafiksowanym” dla drugiego abonenta. I tak dalej. Po prostu każdy z abonentów otrzymuje swój przydział gazu o 1 dzień później. Przy skali dostaw sięgających 10 tys. butli miesięcznie można tak kombinować w nieskończoność.

Druga metoda to „połówka”. Jeśli odbiorca „dziki”, lub też abonent o dużych potrzebach zużywa np. 5 butli miesięcznie, to wystarczy mu jedno, czy dostanie gaz w 5 czy też w 10 ratach. Byłe ilość się zgadzała, no i kasa oczywiście. Taki klient dostaje więc pełną butlę za 100-120 zł. Kiedy zużyje połowę jej zawartości,

otrzymuje następną pełną butlę, też za tę samą sumę. „Połówka” natomiast jest zabierana i puszczana do dalszego obiegu. W sumie za dwie „połówki”, czyli za jedną całą butlę „dziki” odbiorca płaci 200-240, a co najwyżej 250 zł. Taka jest właśnie taksa za „lewą” dostawę, o czym już była mowa na wstępie. A co z tymi „połówkami”? Są one wtrzymane prawowitym abonentem za przepisowe 112 zł. A że takiemu klientowi gaz się wcześniej skończy? No cóż, najwyższe koszty reklamację i otrzyma wyjaśnienie, jakie już zostało wcześniej przytoczone.

Dokonajmy obliczeń. Zyski na jednej butli, sprzedanej tak czy inaczej nielegalnie, wynoszą od ok. 30 do ok. 100 zł. Przyjmijmy, że przeciętnie wypada 60 zł na sztuce. Jak zdradził mi mój informator, na ogólną liczbę dostaw co najmniej 5 proc. to dostawy nielegalne. 5 proc. od 10 tys. butli miesięcznie to 500 butli. Miesięczne zyski sięgają więc minimum 30 tys. zł.

Nie są to zyski jedyne. Można bowiem dorobić jeszcze na benzynie. Wystarczy tak „ustawić” trasy, by wypadło jak największe kilometry, czyli na każdy kurs dobrać abonentów jak najbardziej rozrzuconych po terenie. Faktycznie zaś można podzielić się abonentami z innymi kolegami kierowcami tak, by rzeczywiste trasy były jak najkrótsze. Zyskując na kilometrach, zyskuje się też i na

paliwie. Pozostaje tylko dopasować wskazania licznika do zapisów w karcie drogowej. Licznik znakomicie można „podkreślić” choćby przy pomocy zwykłej wiertarki. Jak? Kierowcy wiedzą. Zabieg jest prosty, a dochodowy. Sposobów jest zresztą wiele...

Sposobów jest wiele. Na gaz, na paliwo, na szmal. Eh, być takim kierowcą w jakiejś choćby niewielkiej gazowni! Nic, tylko szerokiej drog! Raz... gaz...

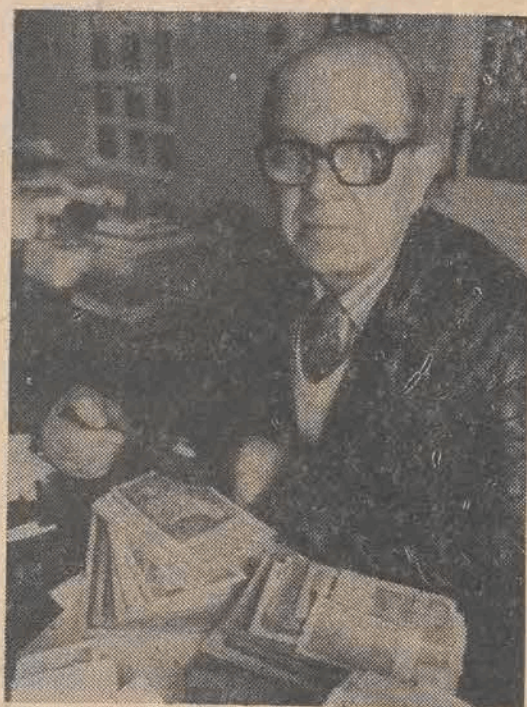
Zarzuć pod adresem Zakładu Gazyfikacji MPGKiM w Zgierzu, zawarte w niniejszej publikacji, z pewnością nie dotyczą wszystkich jego pracowników, choć wszystkich dotyczą. Dla dobra sprawy więc należałoby co rychlej winnych przykłady nie ukarać, niewinnych zaś oczyścić z krzywdzących podejrzeń.

Fakty są bezsporne. Co zaś, i komu przypisać? To dość łatwo ustalić. Na przykład sprawdzić, którym to kierowcom zdarza się najwięcej nieterminowych dostaw i dlaczego? Sprawdzić, co się faktycznie dzieje z „glinacymi” butlami? Sprawdzić autentyczność abonenckich podpisów na dokumentach dostawczych. Sprawdzić, czy...

Ale to już zadanie nie dla reportera!

ZBIGNIEW S. NOWAK

ODGŁOSY 5



ANATOL GUPIENIEC: Byłem zawziętym graczem w klepaka...

Gmach Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego przy placu Wolności. Na trzecie piętro prowadzi szerokie, wyłożone szarym dywanem schody. W pokoju 314 za obitymi, białymi drzwiami, przy zagraconym do granic możliwości stole, siedzi starszy pan. Póki co jest cichy: wszędzie książki, pudełka, biała broń, waga, siolki z klejem, regały, szafki, szafeczki, chemikalia do badania złota i srebra, skrośzuty (jest ich 2,5 tys. sztuk) zawierające archiwum gabinetu numizmatycznego... Miejsca tyle, co dla jednej osoby.

— Szukam pana kustosa Anatola Gupienca — mówię.

Siedzący człowiek nie przerywa pracy.

— Słucham pana.

Takie było nasze pierwsze spotkanie. Później przychodziłem tu kilkakrotnie, chcąc posłuchać opowieści o pasjonującej przygodzie, jaką stała się numizmatyka w życiu tego pogodnego, wesołego i chętnego do snucia wspomnień starszego pana. A i dla mnie, laika i ignorantą w sprawach muzealnictwa, spotkanie z kustoszem Anatolem Gupieniem było czymś więcej niżli konwencjonalną rozmową.

— Wie pan, jestem strasznie gadułą — powiedział, gdy wytłumaczyłem cel mojej wizyty. — Bo tak na dobrą sprawę, to zbieractwo ma w sobie coś tajemniczego, wymaga nie tylko ogromnej wiedzy, ale iście detektywistycznych zdolności. Można godzinami opowiadać o każdym znalezisku, o wyprawach po skarby, tak, tak, po prawdziwe skarby, bo niektóre znaleziska złotych monet ważą po parę kilogramów...

Mgr Anatol Gupieniec urodził się 20 listopada 1914 roku w Brześciu n. Bugiem. W czasie pierwszej wojny światowej jego rodzice uciekli do Żytomierza (nazywano ich wówczas bieżkami) i tam zastała ich rewolucja. Mieszkali przy ul. Lwowskiej 2, ojciec pracował w warsztatach jako mechanik samochodowy i codziennie przynosił wypłatę — plik papierowych pieniędzy — których matka częstokroć nie nadążała wydać, gdyż po południu tego samego dnia zmieniał się rząd i pieniądze traciły wartość. Niekiedy rząd zmieniał się dwukrotnie w ciągu doby, a wtedy już było zupełnie źle. Powstawała prawdziwa kołomyjka: kleronki zmieniano na piatakówki, piatakówki na ukraińskie rodziaki, te na radzieckie ruble, ruble na szagi i grzywny Petlury, po których wchodziły na krótko żytomierskie pieniądze. Były to trudne, niespokojne czasy. Żytomierz przechodził z rąk do rąk, a pieniądze drukowała każda kolejna władza, choć nie zawsze miała czas pójść je w obieg. Dlatego w każdym domu były przechowywane całe worki różnorakich banknotów, którymi potem bawili się dzieci.

Lecz początek pasji zbieracza był zupełnie inny. Sześcioletni Anatol otrzymał swoje pierwsze monety za... dobre serce. Otóż dzielił się otrzymywanym od matki chlebem z psem hrabiego Sudowskiego (hrabia zginął walcząc z bolszewikami). Za ten właśnie chleb sąsiadka podarowała Anatolowi garść carskich monet, które przestały mieć jakąkolwiek wartość.

— Byłem zawziętym graczem w klepaka, polegającego na tym, że monetę leżącą do góry reszką uderzała się swoją i gdy się odwróciła orłem, wówczas się wygrywało. W ten sposób otrzymałem wszystkich kolegów z ulicy. Mój zbiór powiększał się Strzyg Piotr w niedługim czasie przywiózł mi od jednej z ciutek spore pudełko miedzianych, co jeszcze bardziej podnieciło moją wyobraźnię. A gdy nastąpiła kolejna wiosna, bawiąc się na topniejącym śniegu, znalazłem złotą pięciorublowkę tak zwaną „świnke”. Uciecha była ogromna. Do szkoły jeszcze nie chodziłem, więc nadal grałem z kolegami na ulicy, starając się wygrać jak najwięcej. I oto trafił na moje ręce dziwny pieniądz: żelazny. Moja korepetytorka Tamara, córka carskiego generała Wołkowa, zaniósła ją do numizmatyka, a ten z miejsca ofiarował mi za nią dziesięć różnych monet. Nie znając się na pieniądzach, zgodziłem się, gdyż co dziesięć monet to nie jedna. Dziś wiem, że był to amerykański cent wybitny jako pierwszy pieniądz w historii Stanów Zjednoczonych.

Po powrocie do kraju rodzina Gupieniców początkowo zatrzymała się w Brześciu, potem

w Małorytach, w końcu przeniósł się na wieś, na gospodarstwo. I Anatol pracował w polu, pasł krowy, pomagał w domu. Jednak nadal grał z chłopcami w klepaka, zbierając monety. Szybko nauczył się czytać i pisać po polsku i zaczął układać chłopcom podania do władz, a jako zapłatę żądał starych niepotrzebnych pieniędzy. Jak wspomina, nie było to wesołe czasy: w domu palono jeszcze łuczywo (długa drzazga wetknięta między bierwiona i podpalonego z jednego końca).

Szły lata, trzeba było oddać chłopca do szkoły. Ponownie Brześć, gdzie w 1935 r. ukończył gimnazjum. Ale ojciec uważał pasję kolekcjonerską syna za cechę, która chleba nie da. Trzeba było wyuczyć się jakiegoś fachu, a najlepszym wydawał się być zawód geologa. Zapisal się więc młody Anatol na Uniwersytet im. Stefana Batorego w Wilnie na wydział matematyczno-przyrodniczy. Niestety, wybuch kolejnej wojny światowej zniweczył marzenia. Jako podchorąży 2 pułku strzelców podhalańskich odbył kampanię wrzesniową, trafił do niewoli, potem do obozu.

— Jak to się stało, że trafił pan do Łodzi i z tym miastem związał pan swoje, już dojrzałe, życie?

— Zawsze chciałem mieszkać w dużym mieście. W 1945 roku największym miastem była Łódź, choć o tym wtedy nie wiedziałem. Ot, stałem sobie na stacji w Skierniewicach, czekając na pociąg, który zawiozłby mnie do dużego miasta. Ale pociągów nie było. Zajeżdżała natomiast lokomotywa. Zapytałem maszynistę czy nie jedzie przypadkiem do jakiegoś wielkiego miasta. A on na to, że nie wie czy w ogóle

przede wszystkim wiedzy, dział numizmatyczny powiększa się bardzo szybko. Czasy są jeszcze niespokojne, nie wszędzie można dotrzeć, władze bezpieczeństwa nie zawsze zezwalają na wyjazdy do wiosek położonych pod Wieluniem, gdzie wówczas grasowały bandy Bartosza IV, Murata i Jędrusia. Anatol Gupieniec szybko nawiązuje kontakt z milicjantami, księżami, z urzędnikami powiatowymi, prosząc ich o pomoc. W ten sposób właśnie zdobyto syenne skarby z Rudy k/Wielunia (7 kg srebra siekanego z XI wieku) i z Łasku (wielki skarb wczesnośredniowieczny). Książę z Meki Księżej pod Sieradzem oddał skarb składający się z 30 złotych dukatów holenderskich; zdobyto skarby z Leżnicy Małej k/Łęczycy, z Oleśnicy k/Łodzi, z Plocka (denary wczesnośredniowieczne), z Klukowicz na Podlasiu (dirhemy arabskie, z które w X wieku można było kupić 24 konie i 25 młodych niewolnic), z Inowrocławia (grośze praskie), z Ples k/Wieruszowa (dukaty węgierskie i półgrośze z XV w.), z Kociszewa, Jezowa, z okolic Kielc, Bukowinki, Łowicza, Tuszyńska, Brześcia itp. Książę infułat Apolinary Leśniewski gdzieś około 1950 r. przekazał Anatolowi Gupieniecowi około 40 monet z okresu Bolesława Chrobrego (przede wszystkim niemieckie), ale jedna moneta była polska z napisem „Princes Polonia”. Bywało i tak, że milicjanci dokonując rewizji u handlarzy złotem, natrafiali na stare monety i nie wiedząc co z nimi zrobić, przynosili je do muzeum. W ten właśnie sposób odkopano u pewnego handlarza w Konstancynie stare pieniądze i łańcuszki złote pochodzące z XIX w., o których handlarz nie miał pojęcia, bowiem zostały schowane u niego w piwnicy ponad sto lat temu.

W ciągu swojej ponad trzydziestoletniej pra-

— Zdziwi się pan, jeśli powiem, że w domu monet nie mam. Teraz już nie zbieram. Co miałem, jest tu, w muzeum. Posiadam natomiast sporo porcelany, szkła, białej broni, miniatur, ikon, starodruków. No i największą chyba bibliotekę numizmatyczną, liczącą ponad 10 tys. książek. Nie, nie mieszkam w salonach, toteż przeszło połowa moich zbiorów i książek znajduje się na działce. Ostatnio dokonano tam włamań, pewnie szukano skarbów, albo pieniędzy. Szkody są poważne, bo ja zbieram różności, a im one były niepotrzebne. Owszem, zabrano trochę książek, starych narzędzi użytkowych, ale największą szkodą są całe stosy nattuconych płyt gramofonowych i patefonowych, które zbierałem od wielu, wielu lat.

Mówiłem panu, że jestem gadułą, a gdybyśmy zaczęli mówić na przykład o ikonach, albo o bonach miasta Łodzi, o falerystyce, o bonach obozów koncentracyjnych czy nawet o kalendarzach, to nasza rozmowa trwałaby parę lat. Jak w dwóch słowach powiedzieć o czymś jeśli robiło się to przez całe życie?

Mgr Anatol Gupieniec należy do tych pasjonatów, którzy usiłują swoje zamiłowanie przekazać innym. W wydawanym przez siebie „Łódzkim Numizmatyku”, który ukazuje się już osiemnasty rok, nie tylko pisze artykuły i rozprawy naukowe, lecz prowadzi dział nazywany „ABC początkującego numizmatyka”. To wydawnictwo jest swoistym compendium wiedzy numizmatycznej i nie tylko, bowiem zawarte tam artykuły opowiadają o historii kraju i jego ludziach, o działalności poszczególnych organizacji, stowarzyszeń, o znakach i symbolach wojskowych, a także o dziesiątkach innych, nieznanym szerszemu ogółowi zdarzeniach i sprawach. Bądźmy, jak mówią zbieracze, każde ludzkie działanie posiada swój znak, swoją cechę, swój symbol. A pieniądz zawsze był świadectwem historii i jego dzieje, to w większości dzieje całych narodów.

Dorobek naukowy Anatola Gupienca jest znaczny, co ma swoje odbicie w licznych artykułach zamieszczanych na łamach „Wiadomości Numizmatycznych”. Jest ekspertem i rzeczoznawcą w „Desie” i w muzeum, występuje jako biegły przed sądem, w prokuraturze i w milicji.

Począwszy od 1948 r., kiedy to została otwarta pierwsza wystawa pt. „Pieniądz świata”, w latach późniejszych były organizowane następne stałe i czasowe, a patronował im zawsze kustosz Anatol Gupieniec. Poza pracami czysto naukowymi czynnie uczestniczy w międzynarodowych kongresach, konferencjach naukowych i zjazdach odbywających się w kraju i zagranicą.

Fachowcy, ludzie związani z archeologią, twierdzą, że mgr Anatol Gupieniec jest twórcą nowej placówki numizmatycznej na muzealnej mapie Polski, zbiorów o ustalonej renomie, stanowiących cenne źródło naukowe dla polskich i zagranicznych badaczy, zbiorów, których walory dydaktyczne i ekspozycyjne przyciągają do Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi rzesze zwiedzających.

— Za parę tygodni odchodzi pan na emeryturę. Czy nie żał panu zostawać się z tym ciałym, zimnym i zapchanym po sufit pokoiem?

Kustosz uśmiecha się szeroko, poprawia okulary.

— Chcę abym pracował w muzeum na pół etatu. To są mądzy ludzie, bo wiedzą, że pieniądze będą otrzymywać za pół, a robić będą za cały etat. W numizmatyce inaczej nie można: albo nic, albo trzeba poświęcić się zupełnie. A w ogóle to plany mam rozległe: chcę zająć się konserwacją drobnych, lecz drogich zabytków, takich jak np. porcelana. W Łodzi nikt tego nie potrafi. Odręstaurować chińską wazę mającą parę setek lat to nie taka prosta sprawa. Ja spróbuję. Co jeszcze? Będę nadal wydawał „Łódzkiego Numizmatyka” i zabiorę się wreszcie do pisania pamiętnika numizmatycznego. Sądzę, że będzie to ciekawa i pouczająca historia.

Foto: R. Łucyszyn

EUGENIUSZ IWANICKI

PASJA WIELKA JAK MIŁOŚĆ

pojedzie, a jeśli, to do Łodzi. A ta Łódź — pytam — do duże miasto? Człowieku — odpowiada — przecie to ogrom! Wyjechaliśmy po paru godzinach i przez całą drogę pełniłem funkcję palacza. Było to 20 lub 21 stycznia 1945 roku. Miasto było puste, wojska radzieckie dopiero co odeszły na Zachód. Zaczęłem chodzić po ulicach i czytać ogłoszenia. Na Cegielnianej (dziś Jaracza) przeczytałem, że Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki rejestruje malarzy, rzeźbiarzy, plastyków, kustosów itp. Poszedłem. Przyjęli. I natychmiast wystali mnie do powiatu skierniewickiego dla zabezpieczenia dzieł sztuki w dworkach, bo akurat rozpoczęła się reforma rolna. Dali mi tysiąc złotych na dziesięć dni. Dziwne to były pieniądze, a szczególnie naps na nich, który mówił, że ich „Przymiowanie we wszystkich wypadkach jest obowiązkowym”, co było wyrażnym rusem. Co się pan dziwisz? — powiedział do mnie urzędnik. — Drukowano je przecież w Moskwie.

Tak rozpoczęła się nowa karta życiorysu Anatola Gupienca. Pracując jako inwentaryzator zabytków, wstąpił na Uniwersytet Łódzki by studiować historię sztuki. A jednocześnie jeździł, klasyfikował, oceniał, spisywał. W Walewicach natrafił na zbiór wykopalisk archeologicznych, które przywiózł do Łodzi i przekazał do ówczesnego Muzeum Prehistorycznego, profesorowi Konradowi Jażdżewskiemu. Przy okazji powiedział, że posiada sporo starych monet i dobrze byłoby otworzyć w muzeum dział numizmatyczny.

— Początkowo było w muzeum około 50 monet antycznych. Dodałem swoje. Kupiłem od inżyniera Kleina, od Pekalskiej prowadzącej sklep filatelistyczny na Główniej przy Piotrkowskiej, potem jeszcze od kogoś. W krótkim czasie urządziliśmy pierwszą po wojnie w kraju wystawę numizmatyczną, na której były prezentowane monety z całego świata. Wystawił wtedy, pamiętam, swoje zbiory mgr Jerzy Borkowski, dziś kustosz własnego muzeum w Krośniewicach, które przekazał Muzeum Narodowemu w Warszawie, mgr Włodzimierz Gluchowski, Kazimierz Zbichowski i inni. Tu czekałostka: gdy o naszej wystawie dowiedziano się w Warszawie, natychmiast przysłano wysokiego urzędnika pełnomocnego, by zlikwidował dział numizmatyczny. Co było robić? Zabrałem go do Simu i tam, przy solidnej wódce przekonałem owego urzędnika, że dział ten musi w Łodzi pozostać. Po powrocie, zamiast pisać protokół o likwidacji, napisaliśmy wspólnie dokument uzasadniający powołanie działu numizmatycznego przy Muzeum Prehistorycznym w Łodzi. Ale byłem wtedy młody i głowa nie poddawała się byle kieliszкови.

Od 1948 r. datuje się praca w muzeum przy placu Wolności. Dzięki pasji, wytrwałości, a



W PAMIĘCI

Kochana Mamo!

Zapukam kiedyś do Twoich drzwi i powiem: Ich bin Schutzäftling. Meine Nummer ist 7852. Zdziwisz się Mamo kto się tak melduje w obco brzmiącej mowie Mamo to ja. Nie mam imienia, które mi dałaś, nie noszę nazwiska. Ten numer to jest wszystko! Imię, moje nazwisko, dom, ulica. To ja.

Nie wiem, czy ten list dojdzie do Ciebie. Może, gdy skończy się wojna, któraś z moich koleżanek przyjedzie do Ciebie i przywiezie Ci tę kartkę papieru. Wszystkie moje koleżanki piszą listy do swoich rodzin. Nas rozdziela morze i krw. Wszystkie drogi prowadzą na front. Palą się miasta, wsie. A tu gdzie ja jestem, palą się ludzie. Dzień i noc dymi krematorium. Nie znoś dymu z palących się ciał. Choruję wtedy. Gdy rozbiegamy się do mycia, to żartujemy, która z nas pójdzie na mydło toaletowe, a która na szare. Cała nadzieja w tym, że jesteśmy strasznie chude.

Przeszłam przez aleję Szucha i Pawiak. Teraz jestem w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Ty Mamo o tym nie wiesz. Może to i dobrze. mniej płaczysz, mniej się martwisz. Nie jestem tutaj sama. Jest tu wiele takich dziewcząt. Zaprzyjaźniłam się z nimi serdecznie. Pracuję tu bardzo ciężko. Jestem brudna, obdarta. Chodzę boso od maja do października. Znoszę straszny głód. Czasem śni mi się Mamo, że jestem w domu. Na stole leżą różne, smaczne, dobre rzeczy, ciastka, kielbaski. Tylko wyciągnąć rękę i jeść. Wyciągam ręce, wtedy ryce syrena na wstawanie. Pryskają łazienki. W obozie nawet we snach nie można się na-jeść.

Aufstehen! Krzyczy blokowa. Rozpoczyna się nowy dzień. Dzień ciężkiej pracy, bicia, zabijania na rozstrzelanie, do operacji doświadczalnych, na transport.

W domu nie lubiłam się uczyć! Tu w obozie ucze się. Pani Henryka Dembowska, matka mojej koleżanki, opowiada nam biografie sławnych ludzi, filmy, książki. Uczy nas żyć w tych warunkach. Chce, abyśmy nie myślały o głodzie, zimnie i jednym pytaniu: czy wyjdziemy, na wolność?

W obozie jest dużo nauczycielek, profesorek. Postanowiły odtworzyć z pamięci program szkoły powszechnej, gimnazjum i liceum, nauczać młodzież. Systematyczną naukę rozpoczęłam w grudniu 1941 r. Moją ukochaną nauczycielką jest pani Kazimiera Chrobakowa, nr 7249. Uczy mnie języka polskiego i historii. Mam z nią lekcje indywidualnie. Pani Kazia pociesza mnie, że mój akcent wileński jest piękny. Ja jednak bardzo nad tym boleję, postanowiłam go zgubić.

Pani Róża Pruszek, nr 6604, uczy matematyki. Dostarcza mi małych ołówków, notesików, aby w razie rewizji można było je łat-

wo schować. Z wielkim zapalem odrabiam lekcje. Chcę bardzo mieć dobrą ocenę u pani Róży. Lekcje odbywają się przed apelem, nieraz w czasie apelu i po apelu wieczornym, w sobotnie popołudnie. Także w niedzielę, gdy nie ma karnego marszu. Lekcje pisemne odbywają się w nowym lagrze za blokami. Róża Pruszek daje mi zadania, a ja je rozwiązuję patykami na piasku. Piasek jest czysty, żółty, można pisać i rysować, wszystko jest czytelne.

STANISŁAWA
CHAREWICZ

niewysłany list z Ravensbrück

Raz podczas rozwiązywania trudnego zadania zaskoczyła mnie SS-manka. Byłskawicznie usiadłam na zeszycie z piasku. SS-manka wrzeszczała: Du bist verrückt, a ja sobie pomyślałam, że ona jest wariatką, nie ja.

Pani Wanda Mazurek uczy mnie geografii. Na piasku rysuję globus, południki, równoleżniki, całe kontynenty. Rysując kiedyś mapę Polski podzieliłam ją na województwa. Zaznaczyłam miasta, rzeki, góry. Za Wilnem narysowałam swoją wieś — Choniewicze. Nauczycielka spytała: Co to jest? Odpowiedziałam jej — To jest moja wieś. Smutno spojrziała na mnie a ostro rzekła: Jak zaznaczasz wieś, to niech ona będzie mniejsza niż Warszawa.

Dla mnie moja wieś jest najważniejsza. Tam tylko chcę wrócić. Do Ciebie Mamo!

Biologii uczy mnie pani Orlikowska. Przerobiłam siódmą klasę. Egzamin zdałam przed komisją w składzie: przewodniczącą była Róża Pruszek, pani Kazimiera Chrobakowa i Wanda Mazurek.

Przerwy w nauce są tylko wtedy, gdy zabierają koleżanki na rozstrzelanie lub na operację doświadczalne. Mamo! wtedy nie mogę się uczyć. Po rozstrzelaniu Małgosi Dembowskiej, długo nie mogłam się uspokoić. Po śmierci Luci Kiepus, Helusi Sawicz, przeplakałam wiele dni. Nic mi wtedy do głowy nie wchodziło. Kiedyś biegłam na lekcję do pani Kazi. Spotkałam wózek pełen trupów. Ciągnęły go do krematorium więźniarki. Ze stosu wysuwało się ciało młodej dziewczyny. Ktoś zdarł z niej sukienkę. Ręce ciągnęły się po ziemi. Kim była ta dziewczyna? Kto na nią czeka? Dużo trupów widziałam co dzień, przerażał mnie trup tej dziewczyny. Ja jestem szkieletem, a przecież żyję.

Po co biegnę na lekcję? Co mi z tego przyjdzie? Opowiedziałam o tym pani Kazi. Ona jakby tego nie słyszała. Nie byłam w stanie uważać, skupić się, odpowiadać. Martwa twarz dziewczyny stała mi przed oczyma. Wtedy pani Kazia wyjęła karty z siennika i zaczęła mi wróżyć. Karta mówi, że wyjdę z obozu. Przy mnie stoi wysoki blondyn. Będę miała dużo dzieci. Muszę tylko uczyć się i wierzyć, że przetrwam. Nieraz pani Kazia odkrawała kawałeczek chleba, taki cieniutki jak płatek róży i mnie częstowała.

Wróciłam na blok Polnische Banditen. Tak nazywał się nasz blok. Mieszka w nim cały transport warszawsko-lubelski. SS-mani zabronili nam wychodzić do pracy za mury obozu. W każdej chwili musimy być gotowe na rozstrzelanie lub operację. Leżą tu także dziewczęta, które miały operację. Potwornie cierpią. Chodzą o kulach. Bandaże są z papieru toaletowego. Fredzie Prusówna, nr 7687, uśmiercił zastrzyk z tęcza. Strasznie cierpiała. Nawet SS-manka lekarka chciała zastrzykiem uśmiercić ją skrócić jej cierpienia. Była cicha, spokojna, słodka jak obrazek. Nie powróci już do domu, do kraju i swojej Mamy. Wszystkie króliki, tak w obozie nazywamy operowane, gdy tylko gorączka ustaje, ucza się. Janine Iwańska, nr 7711, podziwiam za to, że uparcie uczy się języka francuskiego.

W bloku widać grupki dziewcząt wsłuchane w wykłady. Starsze panie pilnują, aby nikt niepowołany tego nie zauważył. Tylko Janka Machowska, nr 7806, nie uczy się. Jej ręce nigdy już nie zagrają jak przedtem. Straciły swoją lekkość i gładkość, są grube i niesprawne. Ona to przemyciła do obozu książeczkę do nabożeństwa od podchorążych z Neistrelitz. W niedzielę modlimy się z niej. Jest ona również słownikiem ortograficznym.

Kazia Pobiedzińska, nr 7578, po rozstrzelaniu matki powróciła do równowagi i też zaczęła się uczyć. To ciężkie przeżycie osładza jej nasza opieka, serdeczność, ofiarność.

Baska, Kazia i ja postanawiamy, że jak wyjdziemy z obozu, zamieszkamy razem. Będzie to Domek trzech dziewcząt. Baska będzie prowadziła dom, my pracować zarobkowo. Baska ma gust, więc będzie nam szyć suknie białe, niebieskie, różowe. Będziemy ładnie się ubierać i jeść! jeść! jeść! Wieczorami będziemy czytać książki, a w święta przyjmować gości.

Teraz pracuję w Kunstgewerbe. O mojej pracy napiszę Ci w drugim liście. Warunki są znośne dzięki pani Stanisławie Schoenemann, nr 7252. Jest w betrybie kierowniczką. Gdyby SS-mani wiedzieli co dzieje się w Kunście, wszystkich by nas wsadzili do bunkra lub do karnego kolumny. Z tych dwóch miejsc przeważnie nie wychodziło się żywym, lub żywym, lecz nienormalnym.

Pracuję tu takie sławy, jak Maja Berezowska, nr 11197, i Maria Hiszpańska — Neuman. Pracuję w Kunście, choć ze sztuką nie mam nic wspólnego od urodzenia, ale czego się nie robi dla Trzeciej Rzeszy. Plotę więc warkoczek z 6 słomek od kłosa do pierwszego kolanka. Wybieram słomę, moczę, tłukę i plotę. Inne panie z tego warkoczka szyją buty, kapelusze torbki i tym podobne cuda. SS-mankom oczy do tego wylażą.

W Kunście kwitnie sabotaż i nauka. Przyśwoiliam tu literaturę polską od początków aż po Młodą Polskę. Wiek po wieku, autora po autorze. Podłoże gospodarcze, polityczne, ekonomiczne, są nasświetlane z wielką znajomością. Literaturę romantyczną ilustrują nam recytacje artystki Zofii Rysiówny, nr 7286, Haliny Łuszczewskiej, nr 7606, i Joanny Szydłowskiej, nr 7914.

Zapoznałam się z literaturą niemiecką od Nibelungów po Mein Kampf.

Zainteresowała mnie prehistoria, którą tak pięknie wykladał docent Uniwersytetu im A. Mickiewicza, Aleksandra Karpińska z Poznania.

Postanowiłam, Mamo, że jak wyjdę z obozu, będę studiować dawne umiarte kultury Greków, Persów, Inków, Asteków.

Nauczycielka z Pabianic, Helena Salska, uczy historii. Przed wojną nie lubiła dziewcząt, uczyła i ceniła tylko chłopców. Na pewno uczyła ich dobrze. Ze wszystkich oflagów przychodziły do niej paczki od wdzięcznych uczniów.

W obozie przekonała się do dziewcząt. Dla nich napisała Zeszyty historyczne. Uczę się z nich historii.

Na lekcji historii poznałam dziewczynę, wysoką, szczupłą, włosy obcięte na pałę. Podobna jest do chłopca. Po lekcji zapytałam ją gdzie pracuje i jak się nazywa. Lilka Kolado spojrziała na mnie z pogardą i rzekła — Ja w obozie nie pracuję, tylko się ucze, dla Niemców pracować nie będę ani godzinę.

Lilka uczy się wszystkiego. Jest na wszystkich wykładach, pogadankach. Odpowiada rzeczowo, rozważnie. Lubi bardzo panią Wandę Madlerową — dyrektorkę z Białej Podlaskiej, u której uczy się łaciny. Jedną upartą dziewczyną naprawdę może nie pracować. Chronią ją starsze panie, tak zwane strykierynki, które

robią pończochy i skarpetki dla wojska i więźniów.

Czasem widzę Lilkę pośród strykierynek na apelu roboczym. Młoda twarz zakrywa pod chusteczką. Innym razem okropnie kuleje, idzie w kolumnie chorych do szpitala. Kilka razy Lilkę goni jakaś niemiecka kolumna do pracy. Lilka ucieka między bloki, przez okno, i ginie. Ma jakieś kryjówki pod blokami na trzeciaku, na strychu.

Znajome Polki blokowe i sztabowe chowają ją. Jest uczynna, grzeczna. Naukę traktuje poważnie. Mówi, że ojciec jej do szkoły nie posłał, bo jest biedny, na wolności nie będzie miała możliwości uczyć się i być w otoczeniu takich mądrych pań, trzeba więc korzystać. Profesorki nie miały dla niej słów pochwały. Twierdziły, że to jest jedna z najzdolniejszych dziewcząt w obozie. Przepowiadały karierę naukową.

W Kunście jest oprawiony tomik poezji, który z pamięci odtworzyła nauczycielka Felicia Panak, nr 7622. Z tego tomiku część wierszy została przepisana i rozeszła się po obozie.

Ja ucze się wszystkiego, tylko nie języka niemieckiego, ale są i wyjątki. Gdy nocą idą angielskie naloty, ziemia drży, a niebo płonie nad Berlinem. SS-mani wściekają się w betrybach i na apelach. Rano obóz obiegają takie wierszyki:

Es kommt schon wieder
Englischer Flieger
Und schmeisst die Bomb
En grossen Kaliber.

Wtedy gonię po obozie i wszystkim moim zaprzyjaźnionym dziewczętom powtarzam lub od nich ucze się innych.

Mamo! mam tu dużo przyjaciółek Jugosłowianek, Czeszek, Rosjanek, Norweżek. Z matymi dwiema Cyganczkami żyję w wielkiej przyjaźni. Nazywają się Barbara i Papi.

Nasz blok został ukarany. Cztery dni bez jedzenia, picia i powietrza. Okropnie! Niemki zatykały szpary w okiennicach, aby troszeczkę powietrza się nie dostało. W każdej chwili mogły nas zdziesiątkować. Przestępstwem naszym było to, że nasze koleżanki nie chciały poddać się operacjom pseudomedycznym. Uciekły z rewiru i schowały się między nas. Wyciągnięto ich z naszych szeregów i operowano, a nas ukarano.

Po odbyciu kary SS-mani kazali nam wyjść na apel. Wyszliśmy przed blok i każda, zemdlona, padła tam gdzie stała. Gdy otworzyłam oczy, nade mną stały cyganeckie Barbara i Papi. Do ust wciskały dwa małe kartofelki mówiąc: Szasza, Szasza, essen, essen. To miało znaczyć — Stasiu, Stasiu, jedz, jedz.

Kiedyś Papi bolały palce, uplotłam za nią 12 metrów warkoczka. Wdzięczność Papi nie miała granic. Potem przysłała Zina — Rosjanka, jeniec wojenny. Cały oddział tych dziewcząt Niemcy wzięli do niewoli i traktowali jak więźniów. Te dziewczęta przez cały czas obozu imponowały swą postawą. Zinka przyniosła mi kawałek chleba, wsadziła mi do ręki. Nie chciałam tego chleba przyjąć, ale moja ręka kurczowo go zacisnęła. Zjadłam ten chleb ze łzami. Z Zinką zaprzyjaźniłam się w czasie pobytu w rewirze (szpitalu). Leżałyśmy obie chore na anginę z 40-stopniową gorączką. Paka gorączką uprawniała przyjęcie do rewiru. Gdy czułyśmy się lepiej Zinka czytała „Wojnę i pokój”. Często się z nią spotykałam. Ona mnie zapraszała do Odessy, a ja ją do Choniewic.

Młoda Norweżka, Nöemi, nie nic mówiąc, podała mi małą paczuszkę, zaprowadziła na blok Pomogła wdrapać się na trzeciak. Gdy na trzeciaku paczuszkę rozwinęłam, były tam czekoladki, kielbaski, chleb wolnościowy. Takiego skarbu nie miałam od chwili aresztowania. Wszystkie dziewczęta coś przyniosły od przyjaciół. Był to czas nawiązywania wielkich i serdecznych przyjaźni.

Wiadomości z frontu coraz są lepsze. Wolno otrzymywać gazetę Volkischer Beobachter. Pani Helena Tyrankiewicz, nr 7604, tłumaczy nam dobre wieści. Niemcy wycofują się na z góry upatrzone pozycje.

Kunst zlikwidowano. Pracuję u okrutnej SS-manki, nazwiskiem Massa. Massa jest okrutna. Rewiduje i karze. Tu pracuję dla więźniów. Terror jest straszny. Nawet do ubikacji nie wolno nam wyjść. Musimy czekać na godzinę 10. Wtedy brzmi nienawistny rozkaz Dreis raus. SS-manka Massa jest zła i przebiegła.

W takich warunkach też jednak można się uczyć. Pracuję z nami pani nauczycielka Urszula Wińska, nr 7448. Ona to puszcza różne zagadki literackie, historyczne, matematyczne szepem najbliższej dziewczynie, a ta drugiej itd. Nieraz pół nocy się głowiłam nim doszłam prawdy. Wtedy uśmiechem dawałam znać, że już wiem.

U pani Julii Szartowskiej razem z innymi dziewczętami przerabiam I, II i III klasę gimnazjalną. Czasami wiaże do przyzywania pani Kazi na egzamin. Pani Julia drzemie, lub udaje. Jak tylko się pomyli, od razu prostuje.

Pani Feli Panak nie było widać z grupy dziewcząt, tylko słychać było jej głos, czysty, spokojny, wyraźny. Pani Maria Bujalska wyszukiwała utwory, w których była wielka miłość ojczyzny, poświęcenia, praca dla niej. Ona to przygotowywała nas do największej ofiary. Po takiej przemowie leżało było iść na śmierć.

Cześć i chwala wszystkim nauczycielkom z Ravensbrück. One narażają się dla nas. Wyrzekają się odpoczynku. Czekaają na nas uśmiechnięte w dzień i na nocnej zmianie. Nie pozwalają nam zatracić człowieczeństwa.

Mamo! Z okna baraku widzę idącą SS-mankę. W ręku ma papier! Mówi mi Mamo i niech się modlą wszystkie matki, których córki są w tym bloku. Ktoś z nas odejdzie, aby użyć pola meklemburskie. Pod kapustę, pod salatek pójda nasze prochy. Rzuca nasze prochy do zimnego jeziora.



Przed hitlerowskim plutonem egzekucyjnym



Masowy grób w obozie koncentracyjnym Bergen — Belsen

WIERSTWY POETÓW KRAJU RAD

ALIM KIESZOKOW

NA FIRMAMENCIE

Zawita miłość — wszystko wraz odmieni
Odpłynie z nieba obłok za obłokiem,
Świat duszę w jednej chwili zazieleni
Spojrząwszy jezioro modro-sinym okiem.

Ażeby usta zapłonęły mocniej,
Poparzy żar stepowej zawieruchy,
Znienacka deszcz zakłóci spokój nocy
I zbudzi las, co był milczący, głuchy.

Bo miłość jest jak dumny ptak skrzydlaty,
Nieznane ścieżki z wyżyn ją przywodzą —
Zimowy sad przywdziewa z kwiatów szaty,
Uschnięte drzewa nowy owoc rodzą.

Bo miłość tak jak lśniący pstrąg przybywa,
Pod prąd, ku źródłom zmierza wciąż wytrwale
I w żadnej stronie świata tak nie bywa,
By zakochań nie istnieli wcale.

Kto kocha, sam, jak pstrąg, ku źródłom płynie,
Sam wlecia tak, by stanąć na wyżynie,
By tam, w przedziwnie jasnej gwiazd krainie,
Rozślawić ją w najszlachetniejszym rymie,
I żeby znowu w czystych wód głębinie
Odczytać pieśń, co nigdy nie zaginie.

BORYS OLEJNIK

DŁOŃ

Lato już odchodzi,
strój już w depozycie,
Za to wrzesień śpieszy
po skoszonym życie.
Wrześniu mój, radośnie
zmierzaj ku dąbrowie —
Grzyby cię czekają
siedząc pod listowiem.
Nie wypływaj w morze,
nie chodź ponad brzegiem —
Wicher znad Beringa
niesie deszcz ze śniegiem.
Ubierz nam się w złoto,
w czerwień liści pierwszą,
Ukryj nam się w jambach,
albo w białym wierszu.
Jeśli cię zaskoczy
śnieżna zawierucha,
Poproś o schronienie
dłoń oracza suchą.
Życia jest świadectwem
jego dłoń zgrubiła,
Każdy miesiąc na niej
ślad zostawia trwały.

NIKOLAJ SIŁKOW

WIERSZ-DEPESZA

Święto wiosny — Zwycięstwa dziś mamy,
Więc do ciebie wysyłam depeszę,
Chociaż słów ci dam bukiet — jak mamie,
Chociaż słowem pozdrowię pośpieszę.

Zapomniałem już wszystko, co było,
Tylko imię pamiętam — Oksana
— Wciąż pomaga mi przetrwać w złych chwilach
Lecy wciąż zagojone już rany.

Nadal czuję twój dotyk na czole
Tak gorącym, jak wokół nas boje
Bohaterki szpitali polowych!
Każdy losy powierzał im swoje!

I ratując przed śmiercią żołnierza
One bitwę nie jedną wygrały.
Niechaj wiersze najlepszych poetów
Znowu przypomną nam dni byleś chwały.

Pielegniarek i sióstr dzielnych rzesze,
Wy, co byłyście dla nas jak mamy,
Dziś wdzięczności przyjmijcie depesze,
To z najszczerzych są słów telegramy!

Przekł. ELEONORA KARPUR

PIETRUŚ BROWKA

Nie jeden dom ojców porzuca bez żalu,
Za morzem gdzieś osiąść gotowy,
A ja, żeby gniazdo prastare odnaleźć,
Jak bocian przylecę do domu.

Widziałem doliny i góry przed świtem,
Ocean i step bezgraniczny,
Lecz zawsze rad lasy i bory przywitam,
Rad wdycham aromat żywiczny.

W słonecznym promieniu dębina skąpiana —
To dla mnie najwyższą ma cenę,
Bo drzew Koloseum tu tworzą polany,
Brzozowe marmury — Partenon.

Mnie nie Białorusi zastąpić nie zdoła,
Ja zawsze powrócę w te strony.
By łąki ojczyste znów widzieć dookoła,
Powrócę, jak bocian stęskniony.

Przekł. ELEONORA KARPUR



A. Akopian: Ulica Kurowa. Olej. 1963

WIKTOR GABESKIRIA

Człek pocziwy do pocziwych w gości śpieszy.
Wszystkich miłym słowem cieszy,
Wszystkich miłym żartem śmieszy.
Ej, ślicznotki wy, ślicznotki
Co minuta w drzwiach stajacie!
Czarki z gliny i kryształ
Na stół ptakiem zlatujecie!
Nawet komin od uciechy
Płonie, grzeje wciąż goręcej...
Z ramek ślą nam uśmiech słodki
Wyszli stąd na bój młodzieńcy.

Przekł. TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

WŁADYMIER MARFIN

Ulotne są uczucia, lata, zimy!
Nie raz zaboli wspomnień czar daleki,
Mknij życie jak wiosenny potok siny, —
Nikt jeszcze nie wszedł dwakroć do tej rzeki.

Wiem, życia krąg przede mną nie zamknięty,
Wiem, serce nadal pełne myśli lotnych,
A jednak żegnam każdy dzień miniony
Jak druha, co odchodzi bezpowrotnie.

Przekł. ELEONORA KARPUR

WIKTOR GABESKIRIA

EPITAFIUM

Nie raz w tym mieście uczłowałem.
Gdzie Mccheta* i gdzie Mtkwari,**
Ale się chlebem nie łamałem
Z czelem nie godnym wiary.

Nie żałowałem dla prac słusznych
Ni czasu, ni też siły,
Wszędzie wołałem — nawet w głuszy:
Niech żyje kraj mój miły!

Gdy siedzi o słońcu, a nie przeczuł,
Ze burzę wiatr przytarga,
Z ust: Czemu nękaś wietrze, deszczu?! —
Nie wybiegła skarga.

Błogosławiłem ptaków stadkom,
Mtkwari i trawom na niej...
Zem nie dokonał nic ponadto,
Przebacz mi, dobry Panie!

* Mccheta — katedra z XIII w. — ośrodek religijno-państwowy monarchii
gruzińskiej, odpowiednik naszego Wawelu.
** Mtkwari — gruzińska nazwa rzeki Kury.

ALIO MIRCCHULAWA

EROTYK

Drzewo przeży się, przeży i wnet pąkowie wydało,
Potem motylki kwiecica skroń mu osypia białą.
Śnieżyste dziewczę — jabłoń główkę pochyliło.
Miła ma w kraju cudzym — wspominał moją miłą.
Jej pójście dróżki sadu w tych drózek ślad zmieniło...
Szukałem jej. Znalazłem, lecz stała mi się skałą.
Jad wpila w serce moje — i serce zachorowało.
Gorączki się nie zbyło, rozpacz nie stłumiło.
Z domu do domu chodzę, by znaleźć moją miłą.

MUCHRAM MACZAWARIANI

Swobodnym krokiem mijam ulicę,
Po bokach suną drzew korowody.
Tam, pod wpatrzonym w miasto księżycem
Jest bezkres, czuję tchnienie swobody.

Noc taka dobra, świeża, majowa,
Ulica dobra. Ciszy nie spłoszę.
Jakbym w otwarte niebo wstępował,
Cicho, cichutko nad świat się wznoszę.

Przed mnogim wiekiem
Bito nam czołem,
Przed mnogim wiekiem
Poti potęgą,*
Przed mnogim wiekiem
Spisano w księdze
„Chwalebne męki świętej Szumanik”.
O nie dopytuj!

Przed mnogim wiekiem
Żył wielki Szota,**
Przed mnogim wiekiem
Ziomkom zapadał:
„Lepsza śmierć w sławie...”***
Przed mnogim wiekiem.

Przekł. TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

* Poti — prastare miasto nad Morzem Czarnym.
** Szota Rustaweli (XII-XIII w.) — największy poeta Gruzji, autor
słynnego eposu „Wielad w tygrysiej skórze”.
*** Początek słynnego aforyzmu poety: „Lepsza śmierć w sławie niż
bezlówny żywot”.

W przedziale wagonu trzeciej klasy niesamowicie tłok. W taką pogodę jak dziś ludzie masowo wyjeżdżają na kąpieli do podmiejskich kąpek i plaż.

Tomek przeciska się przez gęstą ciżbę w kierunku dwu uczennic i jak czołg toruje ci drogę. Gdy dobiegnął już do celu, natychmiast przystępuje do akcji:

— Mogłyby koleżanki ustąpić miejsca mojemu wujkowi? Chyba widać, że jest obłożnie chory na ślepa kizkę.

— Ale przecież my same stoimy — odzywa się ta czarna.

— Wcale nie same — ciągnie Kokosiński — bo razem z nami. My też stoimy. A nie mogłaby chociaż która wziąć wujka na ręce? I mnie przy okazji?

— A co pan śniadania nie jadł, że taki słabutki? — pyta blondynka.

— Taki już jestem, że na czczo nie mogę jeść. I to się tak ciągnie od dzieciństwa. Koleżanki, jak widzę, od Szanieckiej?

— Tak. A panowie?

— Tu tylko jeden pan. mianowicie ja. A ten drugi, to mój wujek, stryjeczny szwagier babci. Analifabeta. Chodzi do poprawczaka.

— A pani, to chyba Lusja Bartodziejska? — pytasz tej niższej, blondynki.

— Tak. A skąd pan wie?

— Bo pani jest tak podobna do samej siebie, że nie trudno zgadnąć.

— Wuj — pyta Kokosiński — dlaczego wuj mi nie powiedział, że zna tę panią? I do tego skądinąd!

— Pani gra w drużynę siatkówki w ŁKS, razem z Bronarkówną i Lutrosińską — dodaje.

— Przecież uczennicom nie wolno należeć do klubów — wraca uwagę Tomek. — Będę musiał powiadomić waszą przełożoną.

— To my powiemy waszemu dyktatorowi, że palicie papierosa — odzywa się blondyna.

— Przecież ja nie palę. I wujek też nie.

— To nic nie szkodzi, ale pański wujek należy do ŁKS. Widuję go na zawodach szermierczych — mówi ta czarna.

— No, to w takim razie remis — stwierdza. — A teraz proszę pokazać mi swoją rękę, to pani powrócę. — Proszę mu rękę nie dawać — ostrzega Kokosiński. — On już jednej znajomej odgryzł rękę aż po same kolano przy lewej stopie. To ludzherca.

— Panno Zosiu — zwraca się do czarnej — niech mu pani nie wierzy.

— Ja wcale nie jestem Zosią.

— No właśnie! A jak?

— Niech pan sobie wywróży moje imię — mówi, śmiejąc się. — Proszę, oto rączka.

Jej dłoń jest ciepła, aksamitna. Lećciutko drży. Trzyma nie jej sprawa ci przyjemność. Czy dlatego że to dłoń nieznajomej, że trzymasz ją po raz pierwszy? Wczuj się w nią, jak Cyganka, jak chiromanta i wreszcie strzelasz na chybił-trafił:

— Kryś!

Ręka jej drgnęła mocniej. Spojrzała zdziwiona i jakby spłoszona.

— Tak. A skąd pan wiedział?

— Wyczytałem z dłoni — mówisz, sam zdziwiony.

— On umie także wróżyć z nóg — wtrąca Kokosiński. — Ale tylko w czasie pełni, na czczo.

— Co jeszcze pan wyczytał? — pyta zainteresowana.

— Ze jest pani płci żeńskiej, w pierwszej osobie liczby pojedynczej.

— Zgadza się. A skąd pan wie?

— Tożsamość osobnika można ustalić na podstawie odcisku kciuka, a coś dopiero, jeśli się na odcisk palców wszystkich rąk i nóg, tudzież całej reszty ciała. W takim tłoku...

— A nie mógłby się pan czasem trochę ode mnie odsunąć?

— Niestety, otaczająca mnie tłuszcza nie pozwala na to. Mogę usunąć się tylko w kierunku pionowym, ale do tego potrzebny batonik.

— Znam faceta — odzywa się Tomek — co puszczał nosem bańki mydlane i tym sposobem unosił się w powietrze. Zresztą bańki można puszczać nie tylko nosem. Mimo uszu

— też.

— Jeśli nie może się pan naprawdę trochę odsunąć, to niech pan wróży dalej.

— Ma pani kłopoty z matematyką i fizyką — wieszczysz dalej.

— Tak. I co jeszcze?

— Ma pani ładne oczy. A propos: jak można w miejscach publicznych patrzeć takimi oczami?

— Nie wiem, co pan ma na myśli? — pyta czarna.

— Na pewno coś nieprzyzwoitego — wtrąca się Kokosiński. — To znany Rasputin z okolic Pabianic! Ostrzegam panią.

— Co jeszcze mi pan wywróży? — pyta nie zrażona docinkami Tomka.

— Jest pani szatynką — ciągniesz.

— Zgadza się. Skąd pan wie?

— Na podstawie koloru włosów, które ma pani na głowie.

— Co dalej?

— Pani szczęśliwy kolor: seledyn. Pani szczęśliwa liczba: 13.

— A co mnie czeka?

— Utrata wałówki, którą pani wzięła.

— A co się z nią stanie?

— Zwędzi ją niejaki Tomek Kokosiński, którego nazwisko ze zrozumiałych względów muszę przemilczeć.

— I to się nazywa wujek? — skarży się Kokosiński. — Od razu żyletką po oczach!

— Proszę i mnie powróżyć — prosi Lusja i wyciąga do ciebie rękę.

— Pozwoli pani, że tym razem ja powróżę — ofiarowuję swe usługi Tomek. — Proszę tylko zdjąć naszniki i przysunąć się bliżej.

— Jakże się bliżej przysunąć, kiedy tu nawet szpilka nie wejdzie!

— No to może chociaż naszniki... Inaczej nie będzie pani styłała, co ja mówię. Proszę mi dać którąkolwiek z rąk. Może być nawet cudza.

— Proszę, już daję, niech pan wróży.

— Przykro mi, ale mało wesołe horoskopy — mówi Tomek.

— Cóż takiego? — pyta zaniepokojona blondynka.

— Tu, na tej dłoni, wyrosną pani włosy, jeśli nie będzie pani dziś jeździć łódką.

— Jaką łódką?

— W Grotnikach, po stawie, razem z nami — odpowiada nowy wróżbita.

— Nic z tego, bo na przystanku czekają na nas koledzy, z którymi jesteśmy umówione.

— No, w takim razie proszę sobie kupić brzytwę.

Te zamknięte perspektywy na wspólne spędzenie dnia nad Łindą ostudziły wasz zapal do dalszego flirtu, tym bardziej, że jakiś starszy jegomość, którego wiek chronił przed waszą repliką, odezwał się:

— Niby uczone, a gadają takie głupoty!

Jakaś pocziwa kobiecina staje w waszej obronie:

— Póki młode, mają prawo. A pan był lepszy? Dobrze, że choć nie pijane w świętą niedzielę.

— Karawana jedzie dalej! — wznawia dialog Kokosiński. — A swoją drogą, kiedy się jedzie na randkę z narzeczonymi, to nie zaczepia się takich jak my nieznajomych wróżbitów, drogie koleżanki!

— Och, niech już da pan spokój! Jestem już całkiem wypraszona, jak w maglu. Ledwie stoję na nogach! — skarży się Kryś.

— A co mają zrobić ci, co stoja na głowie? — pytasz.

— Każdy stoi na tym, co ma. Jedni na nogach, inni na głowie. Ja też już nóg nie czuję — mówi Tomek.

— Bo masz katar — rzucasz złośliwie.

— Dojeżdżamy do Grotnik! Ja wolę już teraz pożegnać się z koleżankami, żeby nie robić przykrości tym, co czekają na was, prawda, panno Lusiu?

— A ja w imieniu gminy starożytnych — żegnam panię. Może się jeszcze kiedyś spotkamy. A tak li-

czytem na waszą wałówkę! — kończy.

Pociąg staje. Wylewasz się z tłumem podróżnych, jakby cię wycisnęto z tubki z pastą do zębów. Wpadacie prosto na stojących przed stacją dawnych swych kolegów — Woźniaka i Przybyłkę, którzy w ubiegłym roku przenieśli się do Technikum Elektrycznego.

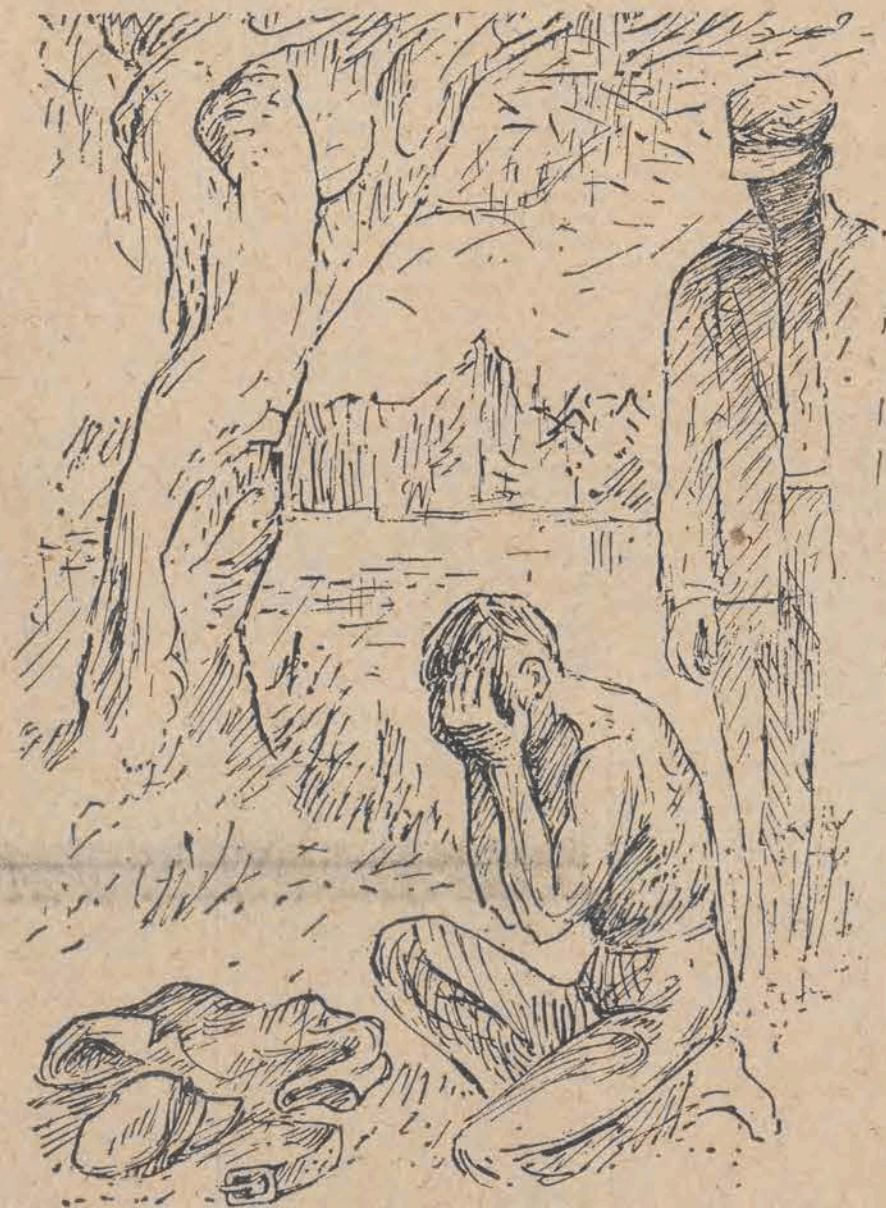
— Cześć, czołem, niebawem! — woła Woźniak i wyciąga grabe.

— Cześć! A co ty w takim kapeluszu? — pytasz.

— O, chwilczkę... — przerywa Woźniak. — Widzę już nasze panny. Krystyna! Lusja! Tutaj! Tutaj jesteście!

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

ROMANTYCZNE I ZIELONE



Rys. Marek Kononowicz

Spojrzałeś na Tomka i mrugnąłeś porozumiewawczo.

— Poznajcie się — woła rozradowany Woźniak.

— Właśnie! Ci panowie zaczęli nas cały czas w pociągu — skarży się Lusja.

— To im się tylko chwali — stwierdza Przybyłak. — Widać, że mają dobry gust.

— Jaki ten świat jest mały, zupełnie jak Kokosiński — stwierdza złośliwie.

— Ale coś stabo działaliście w tym pociągu, bo jak słyszę, jesteście jeszcze ze sobą na pan i pani — śmieje się Woźniak. — Jest teraz okazja na brudersztajt. Józek stawia wino, Kokoszka na zagrychce znosi jajka na twardo, ja będę za was pił. Przybyłak będzie się za was całował, a one będą do siebie mówić po imieniu.

Idziecie radośni, roześmiani, rozgadani. Na bezchmurnym niebie królewskie słońce, lekki wietrzyk chłodzi spocome czoła i nanosi słodkie zapachy lasu, łąki, rzeki. Mijają was gromadki młodzieży. Na murawie biwakuje całe klany rodzinne. Słychać gitary, mandoliny, harmonie, organki, a z dalekich zabudowań — pianie kogutów. Mijacie baraki YMCA i plac apelowy z wysokim masztem.

— Dwa tygodnie temu, pierwszego maja, ktoś tu w nocy wciągnął na ten maszt czerwony flagę — informuje Przybyłak.

— To pewnie nasz Zebin.

— On nie wiezie na krzesło, a co dopiero na taki maszt.

— Na słupach telegraficznych też było czerwono od chorągiewek — dodaje Przybyłak.

— Strażacy mieli wreszcie co robić...

— Policja też. Wąchali pod każdym krzakiem.

— No, to nie zazdroścę im zapachów — śmieje się Tomek.

Raz po raz spotykacie na tej dzikiej promenadzie znajome twarze z międzyszkolnych imprez, z boisk sportowych, z deptaka, z potańcówek. Wzieliście w środek obie panny. Idą z minami rozkapryszonych księżniczek. Po bokach — wy. Tokujący Przybyłak z miną ważną, jakby mówił: „Ma się te rzeczy!” Woźniak z dumnie zadartą głową, jakby mówił: „A mój szwagier to ma telefon!”. Ty i Tomek przybraлиście maski dżentelmenów: „Kumpli nie godzi się pod-

— A ty się nie boisz święconej wody?

— Nie. Nawet służę do mszy.

— No, to remis! — zamykasz temat.

— Jak wam leci w nowej budzie? — pyta Kokosiński Przybyłkę.

— Jak nam leci? Ciągłe nosimy maciejówki z naszej starej budy. Widać: Defiński i Lorentz — też. Tylko Woźniak się dziś wygłupił z pożyczonym kapeluszem. Chciał widocznie zamaskować uszy.

Z daleka dochodzą jakieś krzyki. Początkowo można było sądzić, że to nawołują się pogubieni znajomkowie. Ale nie! To nie żarty! Słychać wyraźnie rozpaczliwy krzyk. „Ratunku! Ratunku! Tonie!”. Do stawu z pół kilometra. Jakiś motocyklista zwalnia:

— Gdzie tu najbliższy telefon — pyta zdyszany.

— Za kioskiem trzeci dom po lewej — informuje Przybyłak. — A co się stało?

— Jakiś facet utonął. Trzeba... — Motor zagłuszył resztę zdania.

Woźniak już ściga spodnie, rzucił Tomkowi i rusza biegiem w kierunku stawu. Jego kostium w niebieskie pasy ginie w kurzu. I wy przyspieszacie kroku, podbiegacie... Gromadki ludzi z krzyzącymi dziećmi oddalają się w popłochu od stawu. Widzicie z daleka trzy łódki, wypełnione harcerzami. Słychać komendy kierującego akcją ratowniczą:

— W lewo! Bardziej w lewo!

Widzicie nurkującego Woźniaka. Wyłania się z wody, by zaczerpnąć powietrza i znów nurkuje.

A na brzegu... Tak, to kłęczą Tadek Lorentz... Placze... nie — wyje! Uderza głową w piach, a czym pokutnik:

— O, Jezu, Jezu! Tadek! Tadek! Co ja teraz zrobię, co powiem twojej matce? O, Boże! Jak jej odnieść ubranie?

W tobie jakby nagle coś pękło i wyciekło z ciebie i piękno tego dnia majowego, i radość i to odczucie pełni życia i nieśmiertelności. Wszystko zamario, ludzie, krajobraz, błękit, pląki...

Jakiś starszy pan wychodzi z wody na brzeg, dygocze z zimna:

— Nie ma sił dłużej nurkować — mówi, jakby sam się usprawiedliwiał wobec siebie. — Już nie ma nadziei. Pół godziny... Panowie, zwołajcie tego w kostiumie, bo wreszcie i on utonie.

Nadjechał czerwony wóz. Strażacy wchodzą już do łodzi, macają dno bosakami, miejsce przy miejscu. Po drugiej stronie — przy mylnie — ruch: to spuszczają wodę ze stawu.

Lament Lorentza staje się coraz bardziej przejmujący. Twarz, mokra od łez i śliny, oblepiona piaskiem. Woła ochryplym głosem:

— Tadek! Tadek! Co powiem twojej matce?

Murawa przy stawie i piaskowa plaża — wyludniły się. Na mostku stoi milcząca gromada gapiów. Tu zostali tylko ratownicy, manewrujący łódkami, wy, i Lorentz, bijący głową w piach.

Nie po raz pierwszy błysnęła ci przed oczami kosa śmierci. Pamiętasz śmierć „Snykwy”, pamiętasz śmierć Stanisławskiego, pamiętasz śmierć profesora Fabersa od „Kupców”, który, ratując tonącego chłopca — sam utonął. Ale żadna z tych śmierci nie zrobiła na tobie takiego wrażenia, jak ta tragiczna śmierć Defińskiego w piękny, majowy dzień, w samo południe. Masz jeszcze w pamięci jego śmiejące się oczy i słowa: „Może się jeszcze spotkamy nad wodą”.

— Nie, nie spotkamy się już więcej — myślisz — i idą gromadzą ci się pod powiekami...

Lusja macza chusteczkę w stawie, klęka obok Tadeka Lorentza i obmywa mu z piachu twarz. Potem strzepuje ubranie Defińskiego składka, zwinia w węzelek i zwinia paszkiem.

— Proszę nie płakać, nie płacz — mówi niskim, melodyjnym głosem i głaszcząc go po twarzy, jak małego chłopczyka. — Uspokój się, będziemy razem wracać...

Stoisz i czujesz, jakby ci ołów spłynął do nóg. I widzisz połamane przez łyż kontury kłęzącego Lorentza i schyloną nad nim Lusję. Widzisz węzelek z ubraniami i szarą maciejówką Defińskiego z jego dawnej budy, z waszej budy...

C.d.n.

TELEWIZJA

Jeden z moich znajomych, który rzadko ogląda telewizję, natomiast — jak mówi — często czyta moje „Odgłosy” teksty (też ciekawostki), po którymś z felietonów zadał mi nieoczekiwane pytanie: „czy te wszystkie nazwiska, które w recenzjach wymieniasz są prawdziwe czy zmyśnione?”. Przez moment zaniemówiłem, spodziewając się jakiegoś najnowszego dowcipu, ale gdy w oczach mojego rozmówcy nie dostrzegłem nic poza zwyczajną ciekawością, odparłem skwapliwie, że oczywiście, jak najbardziej prawdziwie. Tu nasza rozmowa jakoś się urwała, a ja przez parę dni zachodziłem w głowę dociekając sensu tego pytania. Przypomniałem sobie właśnie ostatnio, przeglądając („spod lady”) Klaus Thiele-Dohrmanna „Psychologia plotki”. Rzecz jest pasjonująca, bo racjonalizuje z punktu widzenia psychologii i socjologii to, na co jesteśmy narażeni każdego dnia, jako przedmiot i podmiot plotki.

EX LIBRIS

Przypuszczam zatem, że ów znajomy — jak zresztą wielu czytelników recenzji, felietonów, wywiadów — traktuje je jako swoistą formę plotki. „W plotce — czytamy we wspomnianej książce — nie mówi się o faktach natomiast zawsze o afektach, jakie ona w nas wywołuje. Wysiłek jest skierowany nie na zrozumienie, lecz na osiągnięcie przyjemności. To nie opłotkowany jest przedmiotem analizy, tu chodzi o smakowanie tego, co mu się przypisuje”. Rzeczywiście, gdyby ograniczyć się tylko do tej quasi-definicji, trzeba by zgodzić się z nastawieniem owych czytelników Tym bardziej, że istnieje wiele przykładów w naszej prasie tygodniowej, w których uprawia się zakamuflowaną plotkę. W tych tekstach zazwyczaj unika się nazwisk, bo „nomina sunt odiosa”, ich autorzy posługują się mniej lub bardziej tajemnymi omówieniami. Stąd też mój znajomy pytał o autentyczność nazwisk. Zresztą plotkę charakteryzuje przede wszystkim to, iż dotyczy ona głównie sfery życia prywatnego, a ja przecież nigdy nie próbowałem pisać o sukniach Krystyny Loski (o sylwestrowej miałem wielką ochotę), ani o czuprynie Zygmunta Kałużyńskiego czy uśmiechach Niny Ferentiew. Jeśli już wkraczałem w życie intymne postaci telewizyjnych, to moje afekty i emocje (jak chce Thiele-Dohrmann i mój znajomy) dotyczyły co najwyżej Jordachów, Małolepszych, Banaszcza bądź redaktora Maja, a więc fikcji, którą stworzono dla zapłodnienia naszych emocji właśnie.

Zainspirowany wydawniczą nowością pozwolę sobie przejść do audycji, której owe nowości są zasadniczym tematem, a mianowicie do magazynu „Ex libris”, emitowanego w TVP od niepamiętnych czasów. Pisałem o nim kiedyś, narzekając na spóźnione informacje jakie przekazuje, że nadawany był w dawnych porach i p. Teraz paradoksalnie, gdy rynek księgarski uległ znacznej destabilizacji (popyt przewyższa stokrotnie podaż), ustabilizował się „Ex libris”. Znalezione dlań wreszcie dobrą porę emisji (między „Dobranocką” a „Dziennikiem”). Tu, na marginesie, trzeba powiedzieć, że przeniesienie „Siódemki” na wcześniejsze godziny, pomysł ze wszech miar udany, stworzyło możliwość dla zaprezentowania programów dla znacznie liczniejszej niż młodzieżowa publiczność. Oby tylko to wygospodarowane pół godziny nie stało się przyszłościową dziurą do zapychania czymkolwiek. Wracając do „Ex librisu”. Audycja ta spełnia moim zdaniem, wszystkie założone przez jej redaktorów funkcje. Co najwyżej mogą jej nie lubić księgarze. Każda informacja o nowościach powoduje, że rozdzwaniają się telefony, klienci szturmują księgarnie a księgarze rozkładają ręce. Sam byłem świadkiem, jak nieustraszone Jan Gierańczyk odpowiadał na niezlazone pytania o „Dzieła polskie” Jana Kochanowskiego w skórze. Telewizja bowiem, jak żadne dotąd źródło informacji, rozbudza zainteresowania książką (na małym ekranie można ją zobaczyć, co też nie jest bez znaczenia), powiem więcej, tworzy określone snobizmy. Poszukuje się tej książki, która właśnie jest poszukiwana, którą trudno kupić. Przykład z „Dziela” Kochanowskiego jawnie ilustruje fakt, że nie chodzi tu wcale o ich wartość, ale o skórkową okładkę. Odświeża się dawne konsekwencje towarzyszące z księgarzami aby kupić „jakąś ładną książkę”. Jestem daleki od tego, aby za taki stan rzeczy winić telewizję. Sądzę, że te snobizmy, jeśli im w przyszłości sprostały, mogą stać się początkiem autentycznego zainteresowania książką i wartościami, jakie ona niesie. Tymczasem cieszymy się wydaniami, które dzięki telewizji możemy chociaż zobaczyć.

Na dużych ekranach „konfrontujemy” właśnie reprezentację sztuki filmowej ostatniego roku. Ale i z tą konkurencją telewizja daje sobie nieźle radę. Ciekawe, czy te puste miejsca podczas projekcji wieczornych „Spotkania na Atlantyku” spowodowane były emisją drugiego odcinka „Pogody dla bogaczy”, czy też brakiem zaufania do kolejnego dzieła polskiego kina. Być może myślenie w klasyfikacji tego filmu. Bolesław Michałek (współscenarzysta filmu Kawalerowicz) i Jacek Fuksiewicz w swojej rozmowie na temat owej fali („Pegaz”) tytułu tego nie wymienili. A ojciec chrzestny zna najlepiej imię swojego chrześniaka.

GRZEGORZ GAZDA

JAK ZMĘCZYĆ BEETHOVENA

Ostatni koncert w FL, prowadzony przez Władysława Słowińskiego, przyniósł trzy utwory mistrza z Bonn: Uwerturę z muzyki do baletu „Twory Prometeusza” op. 43, I Koncert fortepianowy C-dur op. 13, w którym jako solista wystąpił Krzysztof Słowiński oraz VIII Symfonia F-dur op. 93.

Antyczny mit o Prometeuszu pobudzał wyobraźnię artystów już od czasów starożytnych. Swoje utwory poświęcił mu Ajkschyllos, Calderon, Herder, Goethe, Shelley, Byron; malowali mitycznego tytana m.in. Tycjan i Rubens; opowieścią o wykradzeniu Zeusowi ognia inspirowali się Liszt, Faure, Skriabin (z jego poematu symfonicznego wywodzi się tzw. akord prometejski), Tansman, Martinet. Z siedemnastu fragmentów składających się na całość partytury „Tworów Prometeusza” napisanej w Bonn w 1791 r. jedynie Uwertura, klasyczna w instrumentacji i harmonice, zachowała żywość. Bohaterską w wyrazie melodię finału utworu wykorzystał potem Beethoven w Wariacjach fortepianowych op. 35, a także w „Eroice” oraz w kilku innych mniejszych dziełach.

Uwertura lekka i żywa nie wymaga specjalnych wysiłków ze strony dyrygenta ani orkiestry. Władysław Słowiński szybko i sprawnie „załatwił” utwór tak, że nie nie wskazywało na to — może jedynie nieprecyzyjna gra orkiestry — co się będzie działo później.

Pewne objawy tego, że coś tu nie gra, wystąpiły już w orkiestrowej ekspozycji I części Koncertu fortepianowego C-dur. Muzyka nie rozwijała się, brak było owego charakterystycznego dla utworów Beethovena stopniowania napięcia, dążenia do przodu, a kiedy usłyszeliśmy drewniane i pozabawione wyzucia uderzenie pianisty, wiedzieliśmy, że to już nie jest to. Nieustanna chwielność tempa, brak wykończenia w pasażach, w których zanikały pojedyncze dźwięki i wreszcie kompletnie „położone” przetworzenie

— kulminacyjny punkt allegro, podczas którego orkiestra skutecznie zagłuszała solistę, sprawiły, że wykonanie było zaprzeczeniem określenia charakteru tej części — vivace e con brio (żywo i z ogniem).

Krzysztof Słowiński dał przykład całkowitej obojętności na materię muzyczną dzieła, usiłując zdobyć poklask dobrze wykonanym „glissandem” oktawowym czy błyskotliwymi trylami. Jednak owe elementy, czysto mechaniczne, są jedynie rzemieślniczymi składnikami tego, co nazywamy sztuką wykonawczą. Ten wczesny i na pewno nie najlepszy utwór Beethovena jest znacznie trudniejszy w interpretacji niż np. III Koncert c-moll. W czasie powstawania I Koncertu, tj. ok. roku 1800, różnicowanie barwy poszczególnych rejestrów w fortepianach było większe niż jest w instrumentach współczesnych, które mają brzmienie silne, ale wyrównane pod względem kolorystycznym. Ze sposobu operowania rejestrami przez Beethovena wynika, że chciał on zachować różnicę kolorystyki rejestrów przy jednoczesnym wzmożeniu dynamiki całej gry oktawowej. Stąd Koncert stanowi pułapkę dla wykonawcy, który nie wrócił uwagi na odpowiednią jakość brzmienia, połączoną z właściwą realizacją wskazań dynamicznych, inspirowanych w tym czasie możliwościami instrumentów smyczkowych, których sposoby artykulacji Beethoven chciał przeskoczyć na fortepian, licząc się zapewne z jego dalszymi ulepszeniami.

Largo Koncertu, podobnie jak I część, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu emocjonalnego zaudziło kompletnie, a kiedy pianista rozpoczął końcówkę allegro, zamazując skutecznie lewą ręką czolowy, stacjonary motyw, stało się jasne, że brak muzyczności i zrozumienia tego, co się gra, nie stanowi przeszkody do wystąpienia na estradzie filharmonic.

nił. Ten znakomity finał, zapowiadający już zwienną romantykę Mendelssohna, został pozbawiony wdzięku, dowcipu, elegancji, pewnej nutki dziecięcej żartobliwości, słowem wszystkiego, co składa się na jego jedyny w swoim rodzaju kształt muzyczny.

VIII Symfonia F-dur, ukończona w 1812 r., stanowi w twórczości Beethovena przykład pisania muzyki o muzyce. Jest ona — jak pisał Karol Stromenger — ukośnikiem w stronę dawnej galanterii, żartobliwym potraktowaniem XVIII-wiecznej formy symfonicznej przez wprowadzenie świadomego przerysowania archaizmów, jak choćby po starożytności koncertujące rogi, klarnety i wiolecze w triu menneta, zabarwionym ludowymi, haydnowskimi akcentami. Analogiczny pastisz stanowi „Symfonia klasyczna” Prokofiewa, czy Bartoka „Koncert na orkiestrę”, parodiujący utwory muzyki romantycznej. Bezpośrednim śladem owej „rywalizacji” z dawną symfonią są związki między finałem VIII i finałem salzburskiej Symfonii B-dur KV 319 Mozarta, natomiast napisane zamiast części powolnej allegretto scherzando anegdota wiąże z żartobliwym kanonem skomponowanym dla Malzla — wynalazcy chronometru muzycznego.

To, co usłyszeliśmy, stanowiło jeszcze wyższy stopień humorystycznego potraktowania utworu. Była to zapewne parodia parodii, z tym, że wszyscy myśleli, iż za brak koncepcji wykonawczej winę ponosi dyrygent. Tymczasem, żartując, wiolecze prawie że przetrwały grać w I części, a instrumenty dete nie chciały jednocześnie odmierzać rytmu w drugiej. Dyrygent, aby jeszcze bardziej rozbawić publiczność, narzucił takie tempo w menuetcie, że ewentualni dostojni tancerze nogi by sobie łamali. Kulminację owej wesołej zabawy stanowił finał, z balaganem panującym w tutti, gdzie wzajemnie przekrzykujące się instrumenty dopełniały konsekwentnie miary owej muzycznej beztroski.

Śmiech to zdrowie — głosi porzekadło — i tylko w ten sposób można zrozumieć oklaski licznie przybyłych słuchaczy.

JACEK KRAKOWSKI

PLASTYKA

Sale wystaw czasowych Muzeum Sztuki mieszczą wystawę „Sztuka reportażu. Z historii fotografii polskiej”. Wystawę tę przygotowało Muzeum Narodowe we Wrocławiu. W Łodzi eksponowana będzie ona do końca kwietnia.

Nie powstała jeszcze żadna historia polskiej fotografii, choć analizowane i badane są niektóre jej rejonu. Toteż każda wystawa zmierzająca do monograficznego ujęcia i uporządkowania pod względem historycznym i gatunkowym ogromnego już i znaczącego w świecie dorobku jest poważnym przyczynkiem do prac badawczych.

Fotografia jest zjawiskiem łączącym ściśle sztukę i technikę; dokumentuje czas, wnika obiektywnie w strumień życia, utrwała wydarzenia, zatrzymuje w kadrze ich treść i niepowtarzalność.

Sztuka plastyczna rozwija się zmieniając sposoby formalne obrazowania świata. Rozwój fotografii należy do rozwoju techniki fotograficznej. Sztuka współczesna usiłuje istnieć pomiędzy subiektywizacją w obrazowaniu a obiektywizacją jego znaczeń. Fotografia zawsze obiektywizuje świat, choć często obrazowi fotograficznemu autor narzuca swoją osobowość, zainteresowania, wiedzę o rzeczywistości.

Jeżeli fotografii użna się za rodzaj sztuki wizualnej, konsekwencją będzie stwierdzenie, że jest to sztuka naprawdę masowa, której uprawianie dostępne jest dla każdego, a możliwości rozpowszechniania prawie nieograniczone. Wartość poznawcza fotografii jest niezaprzeczalna wówczas, gdy obraz zamknięty w kadrze dotyczy szerokiego kontekstu historycznego lub społecznego. Kadr jest wtedy reprezentatywny, zawiera znaczenia symboliczne w stosunku do pewnej klasy zjawisk rzeczywistych.

Nie fotografia kreacyjna, ale właśnie reportażowa jest dla mnie najbardziej interesująca poprzez swoją warstwę znaczeniową, ściśle sprecyzowaną, odnoszącą się do faktycznych zdarzeń. Marshall McLuhan pisze: „W wizualnym sensie fotografia jest przekaznikiem „ostrym” („gorącym”), (...) za-

pewnia „ostrą” percepcję. „Ostra”, to znaczy nasyciona szczegółową i wyrazistą informacją (...) przekaznik gorący powodują niewielki udział odbiorcy w samym procesie przekazu”.

Nasyconie wyrazistą informacją właściwa jest właśnie dla fotografii reportażowej. Na wystawie w Muzeum Sztuki pokazano cykle zdjęć w pełni realizujące cechy gatunkowe reportażu. Niektóre zdjęcia pokazane na wystawie nie należą co prawda do tego gatunku fotografii, nie mniej jednak nabrały one cech zdjęć reportażowych. Wyposażyły je w nie czas. Spójrzmy pod tym kątem na najstarsze prezentowane zdjęcia powstańców

jennych Warszawy jest cykl „Warszawa 1945” autorstwa Leonarda Sempolińskiego.

Zobrazowane na wystawie również zostały reportaże socjologiczne i etnograficzne. Znakomite przykłady reportażu to „Zapis socjologiczny 1978/79. Podhale, Górny Śląsk” Zofii Rydet i cykli „Misteria” Adama Bujaka, obrazujący współczesne obrzędy religijne chrześcijaństwa, dotyczący teatralizacji ich formy, wywołanej się z ludowych tradycji religijnej teatru średniowiecza. „Misteria” reprezentowały polską fotografię reportażową na III Światowej Wystawie Fotografii „W drodze do raju”, która była kolejną już prezentacją najciekaw-

CZAS ZATRZYMANY CZAS ODNALEZIONY

1863 roku. Zdjęcie anonimowego fotografa „Uwięzieni powstańcy 1863 r. w drodze na zesłanie” ma wyjątkową wartość poznawczą, koresponduje z pozostałymi fotografiami, które w sumie tworzą zwarty opis losu powstańców.

Pierwszy „czysty” gatunkowo reportaż stanowią fotografie autorstwa Łukasza Dobrzańskiego, publikowane w „Tygodniku Ilustrowanym” w latach 1903—1906. Ukazują one proletariatus w latach przed — i rewolucyjnych ruchu robotniczego 1905 roku. Interesujące, szczególnie dla łodzian, jest zdjęcie z 1906 r. „Stan wojenny w Łodzi. Posterunki policyjno-wojskowe”. Łukasz Dobrzański rejestrował nie tylko wydarzenia, ale również realia życia i kultury materialnej proletariatus pierwszego dziesięciolecia XX wieku.

Reportaż o wybitnych wartościach tworzy zestaw zdjęć Jerzego Tomaszewskiego „Powstanie Warszawskie VIII — IX 1944”. W fotografiach postaci, oddziałów i akcji powstańczych, utrwalała została prawda o tragedii powstania i ludzi, którzy w nim ginęli. Podobną wstrząsającą dokumentacją wojny i zniszczeń wo-

skich osiągnął reportaż fotograficzny na świecie.

Reportaż przemysłowy okresu międzywojennego pokazany został na przykładzie prac Antoniego Wierzbickiego, pochodzących z lat trzydziestych, zaś współczesny reportaż przemysłowy zaprezentowano poprzez prasowe zdjęcia z tygodnika „Razem”. Jest w tym jakby sens, bo fotografia reportażowa służy przede wszystkim prasie, ale nie sposób oprzeć się refleksji, że jakość tych prasowych zdjęć, w porównaniu z fotografiami na papierze fotograficznym, wypadła poniżej ich poziomu. Problem jakości prasowych zdjęć reportażowych to problem przemysłu poligraficznego, który zmniejsza walory artystyczne i techniczne zdjęcia, a bywa, że i zniekształca informację.

W poszukiwaniu prawdy o rzeczywistości historyczno-społecznej fotografia reportażowa towarzyszy wszelkim jej przemianom. Zatrzymując czas, przechowuje informację o nim, niezmienioną, nieuproszczoną, której zawsze w niej można odnaleźć.

MARIA KEPIŃSKA

POEZJA

Zauważyli już niektórzy nowofalowcy: pokolenie, które nadeszło po nich, jest zarówno bardziej nieśmiałe w bezpośrednim poznawaniu rzeczywistości, jak i bardziej... czytane. Może to i niezupełna prawda, ale na pewno poeci nowej prywatności (a Edwarda Kolbusa, o którym mowa w tym szkicu, z pewnością można do nich zaliczyć) o wiele chętniej i częściej przyznają się do przeczytanych książek. Ilość cytatów, aluzji i bezpośrednich odwołań kulturowych jest czasami wręcz nieprawdopodobna. Na trzydziestu stronach tomiku Kolbusa pojawiają się: Dürer, Don Kichot, Mały Książę, Piotruś Pan, Amicis, Białezy, Clermont, Orfeusz, książka Piotra oraz Adam i Ewa.

Wydaje się, że mamy do czynienia z pewnym ogólniejszym zjawiskiem: poeci nowej prywatności, w odróżnieniu od nowofalowców, programowo wybierających bezdomność (Krynicky), postępują jakby na odwrót — zamknęli we własnych, solidnych mieszkaniach, usiłując zaprosić świat do siebie; oczywiście w sposób metaforyczny (bezdomność tamtych też nie była do słowna). Czytając, bardzo dużo czytają. Poznają świat poprzez książki, a także przez swe najbliższe otoczenie — rodzinę i przyjaciół. Jest to postawa skromniejsza, ale i jakby bardziej ludzka. Wiersze, zyskujące liryzm i kameralność (których notabene tak często brakowało w tomikach Nowej Fali), zarazem tracą rozmach i temperaturę, ów charakterystyczny żar, który na początku lat siedemdziesiątych sprawił, że poezja była czytana, również poza kręgiem zawodowców i egzaltowanych panienek...

Takie jest działanie uboczne postawy, której nie nazwałabym wprawdzie konformistyczną, ale na pewno polegającej na pewnym zawężeniu pola obserwacji świata (nawiasem mówiąc, nowofalowcy także nie patrzyli gołym okiem, jest to przecież niemożliwe; chodzi jednak o rodzaj okularów). Może mamy do czynienia z czymś więcej — z pewnym przewartościowaniem. Homo socius zrezygnował z uczest-

HOMO DOMESTICUS. Z DUŻĄ BIBLIOTEKĄ

nictwa w moralnych i społecznych problemach; jako homo domesticus zawęził swe zainteresowania do obszaru, na którym jego obecność i jednokrotna niepowtarzalność jest oczywista, nie do zakwestionowania — do grupy rodzinnej i przyjacielskiej. Niepokój zamienił na poczucie bezpieczeństwa.

Wybór wartości jest z natury subiektywny, trudno z nim dyskutować. Można tylko starać się pokazać skutki, jakie niesie dla poezji. A skutki są takie, że bohater liryczny żyje, owszem, we własnym domu, w otoczeniu swoich bliskich, ale poza tym — wszędzie, czyli nigdzie. Prawie nie sposób go umieścić w jakiejś wspólnej z czytelnikiem rzeczywistości; chyba, że pod tym słowem będziemy rozumieć rzeczywistość językową i kulturową. Czyż karmić wiersz, by doczekał druku — pyta Kolbus, i jest to niewątpliwie problem istotny dla poety. Dla czytelnika — mniej.

Bądźmy sprawiedliwi: jest to wynikiem pewnej, dość skrajnie rozumianej, uciążliwej poetyckiej. Autor nie udaje, że krag jego doświadczeń jest niesłychanie rozległy, ani że są to doświadczenia niezwykle, odcinające i dramatyczne. Ma chyba rację Leszek Kamiński, autor postawia, pisząc: *Przekorne wezwanie, by nie ufać poecie cierpiącemu za miliony (...)* ukazuje romantyczne korzenie wyrażonego w „Działaniu ubocznym” poetyckiego światopoglądu. Nie jest to jednak romantyzm buntu i walki, lecz raczej autoironiczny żądymy, przenikliwej refleksji nad sobą i swoim miejscem w świecie.

Jest to u Kolbusa świat codzienności bez dna (Codziennosc), świat, w którym szczęście ma dopiero nadzieję, a na razie wszystko jest szare (Skąd te lustra na mej drodze). Poecie, cierpiącemu za miliony, lepiej nie ufać, by nie cierpieć razem z nim

(Działanie uboczne), a książka Piotr jedzie tramwajem czterdzieści cztery (swoją drogą, co za dowcipniś pusił linię 44 do szpitala dla psychicznie chorych? Symbol ten zauważyli już nawet co inteligentniejsi pacjenci). Porywy ducha nie mają większego sensu. Zapowiada to zresztą już motto (z wiersza Biskupskiego): *nie jest to głos sumienia, ale nie jest to też głos rozpacz.*

Jest to po prostu głos człowieka świadomego własnych uwarunkowań i ograniczeń, człowieka, który nie żąda niemożliwości, przedzieranie się ku prawdzie kończy się już w momencie postawienia pytania o nią — pisze Kolbus, i dodaje: *niepełnienie może stać się jedynym — kto wie czy nie najczulszym — z czynników pobudzających do przesiłowej przemiany cierpienia w piękno.*

Niespełnienie, niedojrzałość, zwycięstwo — to motywy niemal gombrowiczowskie, tyle że realizowane bez jego wścieklej pasji. U Kolbusa dominuje inny ton: uspokojenia, czy może zniechęcenia. Trochę wcześniej, zważywszy, że Działanie uboczne jest jego książkowym debiutem. Dwadzieścia cztery wiersze; trochę za mało, by na ich podstawie wyrokować o dalszej drodze twórcy młodego łodzianina. Miejmy nadzieję, że Kolbus nie zamknie, jak tyłu innych, po pierwszej książce. Tym bardziej, że duża dyscyplina słowa poetyckiego, a także liryzm, prostota i bezpośredniość tych wierszy pozwalają czekać na następne bez wielkiego niepokoju.

KRYSZYNA KWIATKOWSKA

Edward Kolbus: „Działanie uboczne”, s. 32, „Pokolenie, które wstępuje”, seria V. wyd. ZG SZSP, Warszawa 1979.

FILM

„OJCIEC KRÓLOWEJ” w reżyserii Wojciecha Solarza, czyli polska próba gatunku zwanego filmem „plaszczą i szpadą”, nie spotka się, jak mniemam, ni ze specjalnie życzliwym słowem krytyki, ni z wdzięcznym przyjęciem przez szeroką publiczność. Zbyt wiele było okazji do oglądania innych, zwłaszcza francuskich realizacji tego gatunku, by można przyjąć z satysfakcją ten produkt. Romansowe i przygodowe wątki filmów „plaszczą i szpadą” wymagają lekkiej ręki, dowcipu, wdzięku, wyobraźni i tempa, zaś aktorzy wnoszą muszą urodę i nie lada sprawność fizyczną. Cech tych przy najlepszej woli trudno się w filmie Wojciecha Solarza

Munk próg scenariuszowy. Wśród wspomnianych materiałów znajduje się pełny scenopis „Ojca królowej”, tekst historycznej konsultacji i uwag Władysława Tomkiewicza, odrębne zapisy prac dokumentacyjnych, poczynionych w wielu zamkach, pałacach i miejscowościach, w których miały być kręcone zdjęcia filmu.

Zatrzymał się Andrzej Munk na tym etapie przygotowań i rozpoczął realizację „Pasażerki”, która przerwała śmierć reżysera. Do dramatycznych dzieł „Pasażerki” warto zwrócić się, po dwudziestu prawie latach od dnia śmierci jej twórcy, dopisać jeszcze jeden rozdział o pracy nie skończonej. Może on mieć, niestety, jedynie charakter informacyjny i zawierać pewne hipotezy. Film bowiem istnieje dopiero wówczas, gdy to, co jest słowem zapisane, zyskuje na ekranie kształt sztuki kina właściwy. Film Andrzeja Munka sa w tej fundamentalnej, acz prostej konstatacji szczególnie dowodem. Porównania dokonywane po-

motywów jego twórczości można zrozumieć wybór scenariusza „Ojca królowej”. Jego żartobliwie potraktowany temat główny znakomicie mieści się w pierwszym, a kto wie czy także nie w ostatnim spośród wymienionych tu motywów. Rzecz potraktowana jest wprawdzie w „Ojcu królowej” a rebours, nie zmienia to jednak wymowy ogólnej. Z całą właściwą tak Stawińskiemu jak i Munkowi ironią odwraca się karty historii, demitologizuje przyjęte w niej prawdy, wielkie ukazuje przez pryzmat małego. Munkowska ironia mogła też znakomicie zapoczątkować w zbiorowych i indywidualnych portretach naszych przodków z drugiej połowy XVII wieku. Kto zresztą wie, jakie wartości i znaczenia w właściwy dla siebie sposób wycisnąłby Munk z posiadanego literackiego materiału.

A komediowo-przygodowa konwencja filmu „plaszczą i szpadą”? Autor kilku najbardziej intelektualnie i etycznie znaczących w dziejach naszej powojennej kultury dzieł, dwa z nich zrealizował w komediowej konwencji i wszedł do historii jako twórca dwóch najlepszych polskich komedii: pierwszej części „Eroliki” i „Zezowatego szczęścia”. To, że komizm służył w tych filmach głębokiej refleksji historyczno-filozoficznej i moralnej, przysparzało tym dziełom wartość dodatkową.

Tak więc mniemam, że z tej nowej dla siebie kostiumowej próby wyszedłby także zwycięsko. „Ojciec królowej” byłby zapewne blachostką i żartem, lecz, jak wiemy, w twórczości wielu światowych twórców takie oddechy bywają i w efekcie nierzadko stają w jednym szeregu z tym, co w ich dokonaniach wydaje się najważniejsze.

Cóż można jeszcze w kontekście wyroków losu powiedzieć? Wobec filmu Wojciecha Solarza nie potrafiłbym odnaleźć cieplejszych słów. Jak się wydaje, wynika to z faktu, że wybrał on temat i konwencję nie przystającą do jego twórczego temperamentu. Krytyczne uwagi wobec jego filmu wypowiedziałabym bez stojącej za nim przeszłości, przeszłości, która znalazłszy swą pointę w postaci powstałego filmu, okazała się choć na chwilę przywołaną. Czynniki tak wszyscy badacze spuścizny literackiej czy plastycznej. Warto zatem także w historii kina odkrywać karty nieznane i te, które nie do końca zostały zapisane. Warto przypomnieć, w okolicznościach tak niezwykłych, jak premiera filmu nie przez niego zrealizowanego, artystę, którego odejście jest jeszcze ciągle żywym i bolesnym wspomnieniem.

EWA NURCZYŃSKA

NIE TEN AUTOR NIE TEN FILM

dopatrzyć. Tym razem nie sposób rozpaść winy między reżysera i scenarzystę, jako że Jerzy Stefan Stawiński odnalazł w polskiej historii moment i sytuację znakomicie sprzyjające próbie zmierzania się z tym jednym z najpopularniejszych filmowych gatunków.

Polska w dniach panowania Jana i Mariusza Sobieskich, Testesny tuż przed odejściem doświadcza. Na dworze polskim króla Maria Kazimiera próbuje zaszczerpieć francuską kulturę i obyczaj. Zakochany małżonek buduje Wilanów, lecz obnosi się po nim z polską i z szlachecką. Przede wszystkim jednak realizuje swe polityczne plany, by kraj swój po tragicznych doświadczeniach szwedzkiego potopu uczynić znów silnym i znaczącym w Europie państwem.

Nie jest „Ojciec królowej” jednak filmem historycznym, choć odnosi się do wątków i postaci w znacznej mierze autentycznych. Należy też do nich tytułowy bohater filmu, czyli markiz d'Arquien — papa królowej Mariuski, bierant na bierbantami Markiz staje się przedmiotem, jak chce scenarzysta, spiritus movens wydarzeń historycznych. Tej miary, co pogrom Turków pod Wiedniem. W wybranych przez scenarzystę gatunków można tak historię interpretować, bo przecież z żartem mamy tu do czynienia, a zresztą historia często odkrywa takie kulisy zdarzeń, jakich potomni nigdy by nie podejrzewali. Gorzej natomiast, nawet w takim filmie, brzmie z ekranu kwestia, w której Jan III Sobieski konstatuje, że po Grunwaldzie Polska ponosiła same jeno klęski wojenne (A Orsza, wojny Batorego, Kirholm, Chocim itd.).

Wróćmy jednak do filmowej „historii”. Markiz d'Arquien, dzięki słabości jaką żywi do niego żądna zaszczytów, rorka, staje się przedmiotem manipulacji Francuzów i Austriaków. Pociąga to za sobą liczne wątki przygodowe i romansowe, które mogłyby bawić nas nie lada wdziękiem. Przydana im barokowa oprawa, wpisana w sytuację mieszanina cech i obyczajów uwikłanych w intrygi przedstawicieli polskiej, francuskiej i austriackiej nacji, barwność królewskiej pary, smak historii tych czasów, to wszystko to, co w filmie Wojciecha Solarza potencjalnie jest i co z dużą niezręcznością zmarnowano. A miał przed laty „Ojciec królowej” swą inną szansę.

W wywiadzie dla Filmowego Serwisu Prasowego (432/80) Wojciech Solarz, przypominając, że jego wykładownia w Szkole Filmowej był Andrzej Munk, stwierdza: „Przy okazji trzeba dodać, że to właśnie Andrzej Munk, już w okresie pracy nad „Pasażerką”, myślał o realizacji filmu na podstawie scenariusza „Ojca królowej”.

Tę informację należałoby uzupełnić, a nawet sprostować.

Zajmując się swego czasu opracowaniem i interpretacją całokształtu twórczości Andrzeja Munka, dotarłem do materiałów, które dowodzą, iż prace nad realizacją filmu „Ojciec królowej” miał reżyser bardzo poważnie zaangażowane i doprowadzone właściwie do momentu wyjścia na plan. Przekroczył już Andrzej

między tekstami znakomitego scenarzysty wszystkich, poza „Pasażerką”, tabularnych filmów Munka, czyli Jerzego Stefana Stawińskiego, a ich ekranowymi realizacjami, pozwalają stwierdzić daleko posuniętą tożsamość dramaturgiczną, sytuacyjną i dialogową. Jednocześnie jednak dopiero w filmowej wersji uzyskiwały one te sensy, które pozwalały mówić o wielkości dzieła.

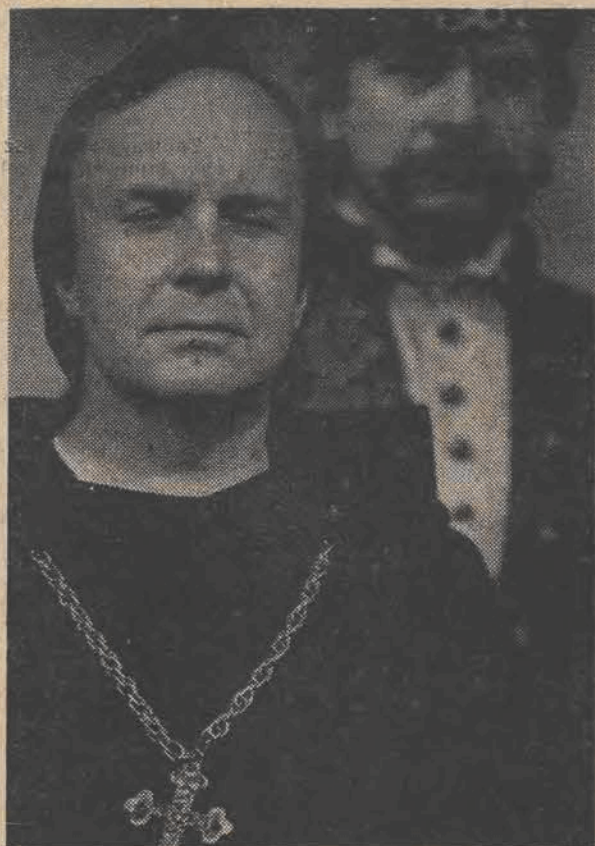
Tak więc trudno, w świetle istniejącej dokumentacji przygotowań Andrzeja Munka do prac nad „Ojcem królowej”, a także wobec zrealizowanego przez kogoś innego filmu, przesądzać czy nawet wyobrażać sobie, jaki byłby to utwór. Można się jedynie zastanowić przez chwilę nad tym, jaka mogła towarzyszyć wyborowi tego tematu motywacja i jakie cechy temperamentu i wyobraźni twórcy Andrzeja Munka mogły zapowiadać artystyczny sukces „Ojca królowej”.

Andrzej Munk konsekwentnie troił w swej twórczości zewnętrzne determinacje jednostkowego ludzkiego losu, a co za tym idzie — i zbiorowego, stawiał zawsze swych bohaterów w sytuacjach wyboru, rozważał możliwości i granice wolności człowieka. W kontekście tych głównych

„PAMIĄTKI SOPLICY” W TEATRZE JARACZA

Z bardzo udaną premierą „Pamiętek Soplicy” według Henryka Rzewuskiego wystąpił na swej Małej Scenie Teatr Jaracza. O sile przedstawienia zdecydowała dobra adaptacja i błyskotliwa reżyseria Mikołaja Grabowskiego; aktorzy świetnie podchwycili jego intencje. Publiczność żywo reaguje na spektakl, mający odniesienia, choć nie bezpośrednie, także do dnia dzisiejszego.

Na zdjęciu od lewej — Marek Kolačkowski i Ireneusz Kaskiewicz.
Foto: S. Sachno



TELEWIZJA

Ostatni poniedziałkowy spektakl teatru telewizji zasługuje z pewnością na uwagę zarówno ze względu na treść jak i formę. Wielokrotnie miałem okazję na tych łamach podkreślać swoistą dwutorowość i hybrydyczny charakter gatunku, który zwykło się u nas nazywać teatrem TV.

Pierwszy tor, to prezentacja w tych ramach klasycznej literatury teatralnej. Szczególnie gustują w tym reżyserzy, którzy pragną przenieść do pracy w telewizji swoje doświadczenia sceniczne i nabyte na scenie metody pracy. Przekazując w ten sposób klasykę, telewizja spełnia zadania edukacyjne, zapoznaje masowego widza z dramaturgią amerykańskiego Ala Morgana, dokonaną przez Lesława Bajera i Andrzeja Chrzanowskiego. Ten ostatni był równocześnie

Nie negując znaczenia takich widowisk, uważam, że ambitniejszy jest drugi tor poszukiwań teatru TV, opierający się najczęściej o adaptację utworów niedramatycznych. Do tego rodzaju należą także widowiska „Wielki człowiek”, będące adaptacją współczesnej powieści pisarza amerykańskiego Ala Morgana, dokonaną przez Lesława Bajera i Andrzeja Chrzanowskiego. Ten ostatni był równocześnie

ANATOMIA KŁAMSTWA

reżyserem spektaklu.

Nie czytałem powieści Morgana, stąd trudno mi w pełni ocenić scenariusz Bajera i Chrzanowskiego. Z tego jednak, co zobaczyłem na ekranie, zarysowałem mi się obraz moralno-obyczajowy, pozostający pod wyraźnym wpływem słynnego filmu Orsona Wellesa „Obywatel Kane”. Pewne pokrewieństwo można by znaleźć także z filmem „Wszystko na sprzedaż” Wajdy.

Umiera człowiek, cieszący się dużą popularnością. W tym przypadku jest to znany prezydent telewizyjny Herb Fuller. Dla milionów ludzi, oglądających jego cotygodniowy program, był kimś bliskim, odpowiadającym na codzienne kłopoty i wątpliwości zwykłego człowieka. Dużą część widowiska wypełniają starania potencjalnego następcy Fullera — Eda Harrisa, by możliwie najlepiej poznać charakter zmarłego, ma bowiem Harris przygotować program żałobny poświęcony zmarłemu koledze.

Z tej sondy przeprowadzonej przez Eda Harrisa, jawi się nam sylwetka Herba Fullera bynajmniej nie pociągająca. Był to człowiek głęboko amoralny, alkoholik, okrutny i bezwzględny w stosunku do swego otoczenia. Harris przekonuje się szybko, że chcąc przekazać „wielkość” zmarłego (a takie ma zamówienie ze strony kierownictwa telewizji), musi zakłamywać obraz Fullera, opierać go pozorami prawdy, tworzyć mit, nie mający żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Napisałem wyżej, że zgłębianie osobowości Fullera stanowi poważną część widowi-

ska. W przeciwieństwie do „Obywatela Kane” i do filmu „Wszystko na sprzedaż”, nie skupia się jednak wyłącznie na sprawach zmarłego. Trudno określić, w którym momencie, ale z pewnością gdzieś w połowie widowiska okazuje się, że to nie Fuller jest bohaterem opowieści, ale właśnie ten, który prowadził w jego sprawie jak gdyby niekryminalne śledztwo: Ed Harris.

Gdy akcja się zawiązuje, jest Harris drugorzędny prezydentem telewizyjnym, a jednocześnie człowiekiem względnie uczciwym. Jego grzeski mają wymiar przeciętności, nie krzywdzi specjalnie nikogo, ani nie robi kariery za wszelką cenę, kosztem innych. Badając sprawki Fullera i mając jednocześnie mglistą obietnicę kierownictwa, że to on zajmie w przyszłości jego miejsce, Harris zaczyna się stopniowo orientować, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za wejście na drogę do błyskotliwej kariery.

Działając w określonym modelu życia społecznego, w którym magia pieniądza jest wszechwładna i decyduje o wszystkim, Harris będzie musiał zrezygnować ze skrupułów moralnych i stać się stopniowo takim samym cynicznym draniem, jakim był Herb Fuller. Już samo jego desyg-

nowanie na miejsce zmarłego łącone jest przez mocodawców z szeregiem warunków, które spadkobierca popularnego programu musi spełnić.

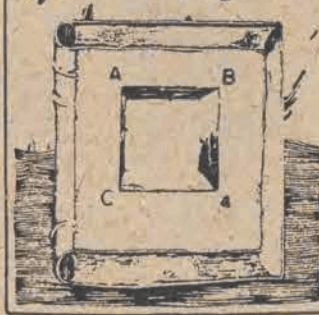
Czy Ed Harris zapłaci tę cenę, czy zmieni się w złodziejskiego i zapitego kłamcę, który raz w tygodniu udawać będzie wobec widowni telewizyjnej kogoś kim nie jest? Widowisko kończy się przed podjęciem przez bohatera ostatecznej decyzji, choć wszystko popycha go w stronę przyjęcia warunków brudnej gry. Gdyby skrupuły wzięły w nim górę, przestałby się po prostu liczyć, pozostałby na swym dotychczasowym skromnym stanowisku (albo i nie), biedny, śmieszny Don Kichot. Świata, w którym mu przyszło żyć, nie zmieni.

Widowisko Andrzeja Chrzanowskiego, sprawnie zrealizowane przy konsulecie przez Barbarę Borys-Damięcką i dysponujące doskonałą stawką aktorów — zwłaszcza Piotr Fronczewski i Mariusz Dmochowski — ma strukturę i montaż niemal filmu fabularnego. Jego atuty tkwią w odchodzeniu od klasycznej formuły teatralnej.

Można by zatem dojść do wniosku, że taki rodzaj widowisk, jaki reprezentuje „Wielki człowiek”, im jest doskonalszy, tym mniej ma wspólnego z teatrem, a więcej z filmem. Wkraczając efektywnie w ramy teatru TV rozsada go wewnętrznie i niszczy.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Ex-LiBRis ODGŁOSÓW



wie, że w tym czasie w sobie sprawę, że wojna była przegrana, nie wierzył już w Hitlera, ani w przyobiecy przez niego cud. Jako jedynego rozsądne wyjście pozościawał im kapitulacja. Wiele z nich o niej myślało a nawet trzymało w pogotowiu swe plany kapitulacyjne. Nikt jednak niczego nie zrobił, aby plany te zrealizować. I tu dochodzimy do akcji powieści Andersch próbuje pokazać w niej, co by było, gdyby... znalazł się jakiś oficer, który by nie tylko myślał, ale zaczął działać. Ponieważ znielenie prototypu takiej postaci w Wehrmachcie jesienią 1944 roku okazało się niemożliwe, autor musiał ją wymyślić. W ten sposób narodził się „Spisek” w Winterspeltzie. Młody oficer nawiązuje kontakt z Amerykanami. Co z tego wynika, czytelnicy dowiedzą się już z

SPISEK W WINTERSPELTIE

Alfred Andersch mieszkał stale w Monachium, jest znanym nie tylko w swoim kraju powieściopisarzem, nowelistą, eselistą, autorem słuchowisk radiowych, ale także współzałożycielem Grupy 47, skupiającej postępowych pisarzy RFN.

Jego najnowsza powieść „Spisek w Winterspeltzie”, dotyczy czasów II wojny światowej. Akcja jej rozgrywa się jesienią 1944 roku, na dwa miesiące przed ofensywą Niemiec w Ardenach. Jej pomysły fabularny jest nie-ko przewrotny. Otóż autor nie miał oficerowie Niemiec, którzy w tym czasie w sobie sprawę, że wojna była przegrana, nie wierzył już w Hitlera, ani w przyobiecy przez niego cud. Jako jedynego rozsądne wyjście pozościawał im kapitulacja. Wiele z nich o niej myślało a nawet trzymało w pogotowiu swe plany kapitulacyjne. Nikt jednak niczego nie zrobił, aby plany te zrealizować. I tu dochodzimy do akcji powieści Andersch próbuje pokazać w niej, co by było, gdyby... znalazł się jakiś oficer, który by nie tylko myślał, ale zaczął działać. Ponieważ znielenie prototypu takiej postaci w Wehrmachcie jesienią 1944 roku okazało się niemożliwe, autor musiał ją wymyślić. W ten sposób narodził się „Spisek” w Winterspeltzie. Młody oficer nawiązuje kontakt z Amerykanami. Co z tego wynika, czytelnicy dowiedzą się już z

lektury. Książkę polecam, ponieważ niezwykle trafnie charakteryzuje społeczne i historyczne uwarunkowania ludzkich postaw i czynów, stanowi istotny przyczynek do psychologicznego wyjaśnienia hitlerizmu w Niemczech.

Alfred Andersch, „Spisek w Winterspeltzie”, przekład: Adam Kaska, PIW, W-wa 1978, str. 442, cena 80 zł.

HAPPENING

Pod tym dość intrygującym tytułem ukazała się pod koniec 1978 roku w PIW „Antologia opowiadań węgierskich”. Przy wyborze do tego tomu zastosowano, w odróżnieniu od poprzednich zbiorów opowiadań (mniejszy jest skłóty z koleją), kryterium na tyle ogólne, że znalazły się w nim utwory o bardzo różnorodnej tematyce, stylu i konwencji, mieszczące się wszelako pod sztyłem: węgierska nowela współczesna. Jakkolwiek niecelowe, a nawet niemożliwe byłoby znalezienie dla nich poza tym wspólnego mianownika, to jednak stanowią one rodzaj literackiej ekspresji doświadczeń społecznych powojennego trzydziestolecia, uświadamiają przemiany, które przetworzyły strukturę społeczeństwa i kształtują postawę współczesnego człowieka.

W tomie zawartych jest trzydzieści opowiadań, w większości nieznanymi polskiemu czytelnikowi, zaledwie trzy drukowane były wcześniej w monograficznym zbiorze Dery'ego pt. „Młoko”. Każdy z utworów poprzedza krótka notka biograficzna o autorze.

I chociaż różne są style opowiadań i różny sposób przedstawiania współczesności, to jednak w tomie dominują tradycyjne formy narracji, język rzadko ulega deformacji, operuje utartymi zwrotami. I, być może, ta chyba nie zamierzona przez autorów wyborna zbieżność zwyczajności stanowi o sile wyrazu utworów.

Happening. Antologia opowiadań węgierskich. Wybór i noty — Krystyna Pisarska, PIW, W-wa 1978, str. 431, cena 85.

CIEPLARNIA NAD RZEKĄ WSCHODNIĄ

Współczesna pisarka angielska, Muriel Spark, urodzona i wykształcona w Edynburgu, a stale mieszkająca w Rzymie, znana jest naszym czytelnikom z kilku powieści. „Cieplarnia nad Rzeką Wschodnią”, rozgrywająca się współcześnie w Nowym Jorku i często odwołująca się do wydarzeń z wojny, jest chyba najbardziej oryginalną i w dorobku pisarki — pełna fantazji, humoru i filozoficznej ironii. Wszystko w świetle, który ukazuje „postać” ciągle uznawaną jest przez rodzinę, znajomych i lekarzy za, łagodnie mówiąc, nie zrównoważoną psychicznie, jest też pod ciążą opieką psychiatry. Natomiast jej niby zdrowy mąż ma nieustannie obsesyjne leki, bo się chodzą ulicą: syn dokonuje niesamowitej inscenizacji „Piotrusia Pana”, w której najmłodszym aktorem jest pan po sześćdziesiątce; córka to mimomanka, przyjaciółka nosi ze sobą wszędzie, nawet do teatru, larwy jedwabników, kucharka dostaje nieustannych ataków histerii, a lekarz psychiatra angażuje się jako lokaj. W tym świecie naprawdę zdrowa i zrównoważona psychicznie jest wariatka. Poza tym, w sposób lekko zwariowany, pokazane jest miasto Nowy Jork, jakieś domy, w których latem kaloryfery są gorące, a zimą zimne, okna, których nie da się otworzyć itd.

Przy wszystkich pozorach humoru, dobrej zabawy i świetnych, niemal komediowych sytuacji, jest to przejmująca książka o koszmarnie cywilizacji i odhumanizowaniu naszego życia. Na koniec cytuję, który stanowił jakby credo książki: „Wróć tu, do Nowego Jorku, do sali terapeutycznej, gdzie dają środki uspokajające, gdzie wcale nie trzeba myśleć...”.

Muriel Spark, „Cieplarnia nad Rzeką Wschodnią”, przekład: Agnieszka Gliniczanka, PIW, W-wa 1980, str. 155, cena 25.

Dalszy ciąg ze str. 1

Srodkowego Powołża zaczęła się po zdobyciu Kazania w 1552 roku. Symbirsk założono w 1648 roku. Od końca XVIII wieku zaczęto używać nazwy Symbirsk. Była to najważniejsza twierdza Srodkowego Powołża. Strzegła przed napadami koczowniczymi z Wołgi. A później stała na straży władzy carskiej. Od początku w Symbirsku był garnizon wojskowy.

Ziemie tu żył. Był więc to kraj chłopski, kraj rzemieślników i kupców. Ale też i kraj buntów, niepokoju i walki z samoderżawielem. 4 września 1870 roku Stepan Razin z kozackimi wojskami podszedł pod Symbirsk. Całe Dołne i Srodkowe Powołże było w rękach kozackich buntowników. Carycyń, Czarny Jar i Astrachan. Pod Symbirskiem Stepan Razin poniósł klęskę. Sieto go w rok później w Moskwie, ale w Symbirsku nigdy nie wygasła pamięć o tym kozackim buntowniku.

W 1773 roku Dołne i Srodkowe Powołże, Ural, Zachodnią Syberię objęło wielkie powstanie chłopskie pod wodzą Jemieliana Pugaczowa. W 1774 roku powstańcy zdobyli Kazan i ruszyli na Moskwę. Do Symbirsk nigdy nie doszli.

2.

— Są miejsca, które sobie szczególnie upodobała historia — powiada Franek Lewicki, kiedy oglądamy Ułjanowsk. — Tutaj, gdzie człowiek nie spojrz, jakaś pamiątka historyczna.

Miasto jest duże. Rozległe. Można je sobie obejrzeć z okien nowoczesnego hotelu „Wieniec” w którym mieszkamy. Z naszego 13 piętra doskonale widać panoramę Ułjanowską. Jest tu obecnie 480 tysięcy mieszkańców. Centrum miasta leży między Wołgą i Swijagą. Są dzielnice położone za Wołgą i za Swijagą.

Swijaga to dziwna rzeka. Podpływa do Wołgi niemal prostopadle. Nagle skręca w przeciwną stronę i ze dwadzieścia kilometrów płynie równoległe do Wołgi, ale w przeciwnym kierunku. Później znów skręca i spokojnie wpływa do Wołgi. Wody Swijagi wracają pod Ułjanowsk zmieszane już z wołżańskimi.

3.

Symbirsk gubernia powstała w 1796 roku. Ale Symbirsk ciągle był małym miastem. Posiadał swój kreml tak potrzebny do obrony. Pod tym kremliem ponosił klęskę Stepan Razin. Powoli jednak kreml stawał się mniej przydatny. Upadał i niszczał. Ostatecznie rozebrano jego resztki około 1870 roku.

Kreml stał na wzgórzu zwanym Wieniec. Był może dlatego Swijaga popłynęła równoległe do Wołgi, ale w innym kierunku, że na jej trasie stał Wieniec. W dobrą pogodę Wieniec był widoczny z Wołgi w odległości 30—50 kilometrów. Wołżańskie burlaki opowiadali, że idą już siódmym dniem, a wciąż widzą Symbirsk.

Symbirsk był miastem drewnianym. W 1678 roku mieszkali tu 1634 osoby. Byli to kupcy, rzemieślnicy, wyrobniicy. W miarę rozwoju Srodkowego Powołża rosła ludność Symbirsk. W latach 60 XIX wieku mieszkało już w Symbirsku 30 tysięcy ludzi. W 1912 roku — 62 tysiące mieszkańców. W połowie XIX wieku zaczęto budować murowane domy. Bogacili się symbirscy kupcy handlujący pszenicą, kawiorami, kołami, skórą, drzewem. Linie kolejową doprowadzono do Symbirsk dopiero w 1898 roku. Ale od 1879 roku działał teatr i wychodziło pismo „Kolokol”.

4.

Spacerować nad Wołgą, kiedy wieje wiatr, od rzeki i kiedy jest około 10 stopni mrozu, to kompletny idiotyzm. Ale powietrze jest tu tak czyste, a śnieg tak pięknie biały i błyszczący w słońcu, że nie mogliśmy się oprzeć i poszliśmy na spacer.

Niemal u końca Bulwaru Nowy Wieniec stoi ładny kolorowy gmach. Mieści się tu Muzeum Krajoznawcze. Weszliśmy, aby się trochę zagrześć. I nie pożałowaliśmy.

Jest w tym muzeum wiele interesujących eksponatów. Ale jest pokój poświęcony pamięci Iwana Gonczarowa. Cały dom, w którym mieści się muzeum poświęcony jest temu rosyjskiemu pisarzowi. Budowę rozpoczęto w 1912 roku. Zakładano, że będzie się tu mieściło historyczno-archeologiczne muzeum. Budowę ukończono w 1916 roku, ale wtedy bardziej był potrzebny szpital. Dopiero po rewolucji wróciło tu muzeum.

5.

W 1898 roku symbirski poeta Piotr Aleksandrow nazwał swe miasto — „krajem poetów”. Ale chyba nie tylko poetów. W Znamenskim Siolu, niedaleko Symbirsk, urodził się w 1766 roku Nikołaj Karamzin, pisarz i historyk, autor „Historii państwa rosyjskiego”, którego „Listy podróżnika rosyjskiego” z 1791 roku zapoczątkowały rosyjski sentymentalizm. Jego pomnik stoi niedaleko gimnazjum, do którego uczęszczał Włodzimierz Ułjanow.

W 1812 roku w Symbirsku urodził się Iwan Gonczarow. Był on synem kupca symbirskiego. Dom, w którym się urodził spłonął w czasie

wielkiego pożaru Symbirsk w 1864 roku. Został tylko murowany fundament. Na fundamencie domu Gonczarowych wybudowano nowy, murowany. Stoi on dziś przy ulicy Iwana Gonczarowa pod numerem 16. Mieści się w nim szkoła zawodowa.

Iwan Gonczarow po ukończeniu studiów uniwersyteckich wrócił na rok do Symbirsk i pracował w kancelarii gubernatora. Później przeniósł się do Petersburga. Do Symbirsk wracał na wakacje. Odpoczywał tu też po podróży dookoła świata, jaką odbył w latach 1852—1854 na fregacie „Pallada” w charakterze sekretarza admirała Putiatina.

Obserwacje życia w Symbirsku nasunęły pisarzowi pomysły napisania powieści „Obiomow”. Pracował nad nią 8 lat. Napisał ją w 1857 roku w Marienbadzie, gdzie odpoczywał i kurował się. Powieść ukazała się w 1859 roku. Symbirskie realia można znaleźć w innej powieści „Urwisko”, która ukazała się w 1869 roku.

Pod koniec pierwszej połowy XIX wieku przebywał w Symbirsku przyjaciel Aleksandra Hercena — Nikołaj Ogariow. Tutaj gościem Iwana Gonczarowa był Nikołaj Czernyszewski. Później, już po rewolucji, działał tu Flodor Panfiorow, autor powieści o kolektywizacji wsi radzieckiej „Bruski”, a także innej — „Matka rzeka Wołga”. W Symbirsku przewodniczącym gorkoma partii był W. Bill-Bialocerkiewski, który tu wydał „Śmiech przez tży” i rozpoczął pracę nad sztuką „Sztorm”. Tutaj dziennikarstwem zajmował się Konstantin Fiedin.

6.

Do fabryki frezarek jedzie się dość długo. Trzeba zwał Wołgi przejechać całe niemal miasto. Minąć Swijagę. Wzdłuż tej rzeki przejechać Zaswijażę i daleko za miastem zatrzymać

się przed wybudowaną w 1956 roku fabryką. Budowa frezarek — dużych i małych — jest mało atrakcyjna dla zwiedzających. Ale pokazuje skalę, jaką pokonała gospodarka Ułjanowska. W niedalekim sąsiedztwie pierwszej wyprodukowanej tu frezarki, ważącej zaledwie 5 ton, buduje się największa — 750-tonowa. Jej wysokość — 13 metrów.

Mnie by bardziej interesował „UJZ” — powtarzał Zbigniew Bożek, bo w Ułjanowsku produkuje się też popularne i u nas „lajziki”, samochody terenowe. Rodzina „UJZ-ów” jest już wielka. Ale nie starczyło nam czasu na zwiedzenie tej fabryki.

7.

Przemysł dotarł do Symbirsk bardzo późno. Rozwiniął się Symbirsk dopiero po rewolucji. W 1917 roku, kiedy bolszewicy szczykowali się do wzięcia władzy, nie zapomnieli o Powołżu. Był to ciągle kraj chłopski, pamiętający chłopskie wojny z carem. Tutaj silnie rozwinął się ruch chłopski w 1905 roku. Tutaj silne były antyobszarncze nastroje w 1917 roku. Ale politycznie chłop Powołża przynależał do eserowców, pomni ich narodniczej tradycji. Tylko, że eserowcy z 1917 roku dalecy już byli od tych tradycji.

Symbirsk grupa SDPRR powstała w 1904 r. Działał w niej między innymi Dymitr Ułjanow. 10 marca 1917 roku powstała w Symbirsku Rada Delegatów. W tym czasie pojawił się w mieście delegat KC SDPRR(b) Michaił Krymow. 15 września 1917 roku wybrano tymczasowy komitet SDPRR(b). Zaczęła ukazywać się „Symbirskaja Prawda”. Jej kontynuacją jest wychodząca obecnie „Ułjanowskaja Prawda”.

W czerwcu 1918 roku zbuntował się Korpus Czechosłowacki. Symbirsk padł 21 lipca 1918 r. Odbił go Żelazna Dywizja dowodzona przez Gaj Gaja-Bżyszkin. 12 września 1918 roku. Powołże było nie tylko spichrzem Rosji. Zdobycie Powołża przez „białych” groziło bezpośrednio Moskwie i całej rewolucji. Po buncie Korpusu Czechosłowackiego do walki z władzą

radziecką przystąpił admirał Aleksander Kołczak. Najwyższa Rada Wojenna utworzyła Front Wschodni. Na froncie tym walczyli wybitni radzieccy dowódcy: Michaił Tuchaczewski, Michaił Frundze, Wasyl Czapajew.

W sierpniu 1918 roku Włodzimierz Lenin telegrafował do M. D. Boncz-Brujewicza z Najwyższej Rady Wojennej:

Uważam za konieczne wzmocnić pod każdym względem front wschodni.

Lenin wysunął wówczas projekt nagrodzenia tych oddziałów, które zdobędą Kazan i Symbirsk. W odpowiedzi na tę propozycję Włodzimierz Lenin telegrafował do Swijażsk, gdzie przebywał Lew Trocki:

„Co się zaś tyczy nagród pieniężnych, to spróbujcie je, będą bronił Waszej decyzji i formułować ją...”

30 sierpnia 1918 roku Włodzimierz Lenin został ciężko ranny strzałami z pistoletu oddanymi do niego przez eserowską terrorystkę Kaplan. Mimo choroby nadal zajmował się sprawami państwowymi i partyjnymi. W Rosji toczyła się zacięta wojna domowa, walka polityczna i klasowa.

12 września 1918 roku telegrafuje do Lwa Trockiego z Kazania:

Gratulacje z okazji zdobycia Symbirsk. Moim zdaniem należy wyżyć wszystkie siły, by przyspieszyć oczyszczenie Syberii. Nie żałujcie pieniędzy na premie. Telegrafujcie, czy ocalono wartościowe obiekty Kazania. Jutro już zaczynam pracować.

Gaj Gaja-Bżyszkin po zdobyciu Symbirsk telegrafował do Włodzimierza Lenina:

Drogi Włodzimierzu Illiczu! Zdobycie Waszego rodzinnego miasta — to odpowiedź za Waszą jedną ranę, za drugą — Samara.

8.

Zbyszek Bożek uparł się, aby koniecznie zwiedzić centrum wyszkolenia pilotów w Ułjanowsku. Pojechaliśmy tam we dwóch.

Centrum powstało w 1935 roku, ale w Ułjanowsku jest od 1950 roku. Na razie mieści się w starych budynkach, pamiętających chyba jeszcze czasy rewolucji, a może już okres odbudowy. Ale niedługo przeniesie się do nowoczesnych budynków, jakie buduje się w Ułjanowsku z funduszy RWPG i dla potrzeb lotnictwa RWPG.

W 1973 roku ułjanowskie centrum szkolenia pilotów zostało nagrodzone Orderem Im. Włodzimierza Lenina. Szkołą się tu wszyscy piloci lotnictwa cywilnego, którzy będą latać na radzieckich samolotach: „Tu-134”, „Tu-154”, „Il-18”. W centrum wybudowanym przez RWPG szkolą się będzie pilotów na wszystkich typach samolotów produkowanych w ZSRR.

— Skoda, że spóźniacie się — mówi Witali Rzewskij, I zastępca naczelnika centrum.

— Dlaczego? — pytamy nieco zaskoczeni, jako że przyjechaliśmy na umówione spotkanie punktualnie.

— Bo wasi piloci odjechali z Ułjanowska kilka dni temu. Spotkaliście rodaków — śmieje się z nieporozumienia Witali Rzewskij. — Ale nie martwiecie się — uspokaja nas. — Niedługo przyjadą następni.

— Tylko, że nas już tu nie będzie — Zbigniew Bożek jest niepokojony. Wiele sobie obiecywał po spotkaniu z polskimi lotnikami.

9.

22 kwietnia 1870 roku w Symbirsku urodził się Włodzimierz Ułjanow, syn Ilii Nikołajewicza i Marii Aleksandrowny Ułjanow, trzecie ich dziecko. Opuścił Symbirsk mając 17 lat.

9 maja 1924 roku decyzją rządu radzieckiego Symbirsk został przemianowany na Ułjanowsk.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Symbirsk był miastem drewnianym. Resztki dawnego Symbirsk usuwa spychacz. Foto: L. Włodkowski

NIE TYLKO HISTORIA

Wielki artysta, który nieżył fortunnie wdawał się w politykę, czy znakomity polityk, którego wspierała sława jednego z największych pianistów epoki — oto dylemat mimo którego nie może przejść zaden z badaczy politycznych dzieł Polski naszego stulecia. Paderewski — polityk nie miał ostatnio szczęścia do historyków, a i z muzykiem przez długie lata nie było najlepiej. Pamiętam przeleć czasy, kiedy jego dorobek artystyczny — za-

dziestolecia, o sprawiedliwy sąd o ludziach i sprawach tamtych lat, które — tak samo, jak jego książka o prezydencie Stefanie Starzyńskim — znajdowały się w centrum zainteresowania historyków i budziły najróżniejsze głosy, nie zawsze naukowej tylko krytyki. Myślę, że podobnym kijem w mrowisko, a raczej w spetryfikowaną strukturę usłownych schematów będzie także i ta jego książka. Mam na myśli blisko trzystustronicową monogra-

zyczej mierne rezultaty: rodzi dzieła hagiograficzne, których wartość bywa często wątpliwa. Drugie — jeżeli tylko historyk zdoła się oprzeć pokusie tworzenia i legendy — przynosi rezultaty tym bardziej owocne, im dojrzałszy jest intelektualny horyzont, im precyzyjniejsza badawcza metoda użyczonego. Rzecz Drozdowskiego należy z pewnością do tego właśnie rodzaju historycznego piśmiennictwa. Autorowi udało się przekroczyć zaklęty krąg legendy, ale jego krytyczne weryfikacje nie doprowadziły go do jej przeciwstawienia: negatywny upiększony przez hagiografów portret. Trudno zaprzeczyć słuszności autora, że „osiągnięcia metodologiczne i heurystyczne współczesnej historiografii pozwalają zweryfikować niejedną tezę powstałą w atmosferze bezkrytycznego kultu, ale weryfikacja ta, moim zdaniem, w niczym nie kwestionuje wielkiego wkładu Paderewskiego do kultury polskiej, amerykańskiej i polonijnej”.

Historyk, podejmujący się napisania politycznej biografii Ignacego Jana Paderewskiego, musiał przystąpić do niezmiernie trudnego zadania zweryfikowania istniejących w dotychczasowej literaturze stereotypów ocen artysty — polityka. Były one, jak podkreśla to Drozdowski, zgoda różnej proveniencji. Są to m. in.: stereotyp „Paderewskiego — endeka” lansowany przez socjalistów i pilsudczyków, stereotyp „Paderewskiego — masona, filozofa” lansowany przez endeków oraz stereotyp „Paderewskiego — arystokratycznego konserwatysty” lansowany przez

część socjalistów i radykalnych ludowców. Wszystkie te stereotypy — konkluduje współczesny historyk — w konfrontacji ze źródłami historycznymi muszą być zweryfikowane. Dodajmy, że weryfikacja ta nie prowadzi do potwierdzenia któregośkolwiek z nich.

Marian Marek Drozdowski podkreśla, że mistrz Ignacy Jan był człowiekiem, który w wielki dwudziesty przynosił bardzo wiele ze sposobów myślenia i odczuwania Polaków — z poprzedniego, dziewiętnastego stulecia. Uformowany przez kulturę polityczną czasów po powstaniu styczniowym, uważał się za dziedzica romantycznej idei niepodległości Polski, oczywiście w jej przedzbiorowych granicach. Demokracja pojmował tradycyjnie, na sposób wieku XIX: nie rozdzielał masowych ruchów społecznych, zwłaszcza tych, które miały charakter emancypacyjny. Historyk z pasją polemizuje z poglądem, który przetrwał do dziś, jakoby był „Paderewski człowiekiem, znajdującym się „w kregu oddziaływania nacjonalistycznej ideologii Dmowskiego”. Prawda że Ignacy Jan czuł się związany z ruchem narodowo-demokratycznym w pierwszej fazie jego rozwoju, kiedy jego ideologia nie doznała się jeszcze zdecydowanej artykulacji. Ale rychło drogi Paderewskiego i Dmowskiego miały się rozjeżdżać. Mistrz Ignacy Jan „jako kontynuator romantycznej myśli politycznej, jej demokratycznego nurtu, utrzymywał dystans, a następnie odciął się coraz bardziej od zdecydowanego, agresywnego, nietolerancyjnego, szowinistycznego nacjonalizmu”.

Dał temu zdecydowany wyraz jeszcze u narodzin niepodległego państwa polskiego, zaś w latach II Rzeczypospolitej niejednokrotnie odciął się zarówno od ruchu nacjonalistycznego, jak i powstałego po przewrocie majowym systemu autorytarnego.

Legenda wielkiego artysty — która weryfikuje się z perspektywą czasu niewątpliwie pozytywnie — wspomagała Paderewskiego — polityka, bynajmniej nie tak niskiego lotu, jak nieraz o nim sądzono. Tak zaumowalnym wynikiem dociekań Drozdowskiego i tym razem historyk proponuje więc swego rodzaju — bynajmniej nie apologetyczny — rehabilitację wybitnej postaci z naszych niedawnych dzieł. W takim obrazie Ignacego Jana wypadło wiele miejsca poświęcić jego aktywności na arenie międzynarodowej, aż po lata II Wojny Światowej. Historyk starał się ukazać, jak ogromny autorytet Paderewskiego funkcjonował w dobie II Rzeczypospolitej oraz w pierwszym okresie II Wojny Światowej. Za sprawą otwartą uważa jednak — chyba nie bez podstaw — „zbudowanie żywej legendy dzisiaj, w nowych warunkach politycznych i kulturowych”. A czy legenda ta dziś jeszcze u nas istnieje? Lepiej, by istniała nie legenda, ale życiowa pamięć o człowieku, który wiele dla Polski zrobił, choć nie zawsze w sposób, który by wszystkim dogodził.

ANDRZEJ F. GRABSKI

PADEREWSKI — POLITYK

równie wykonawczy, jak kompozytorski — pokrywała mgłą zapomnienia, a wydobyć jego na światło dzienne bynajmniej nie sprzyjały ostracyzacyjne oceny Paderewskiego — polityka. Polityk przeszkadzał artystyce i trzeba było lat, by przypomnieć kim był naprawdę Ignacy Jan Paderewski — genialny pianista i interesujący kompozytor.

Marian Marek Drozdowski należy do tych historyków średniego pokolenia, którzy ze szczególną pasją poświęcają się zgłębianiu spraw tyle ważnych, co zapomnianych, przebojem pokonując wszelkie pierzchnięcie się trudności, czego rezultatem bywa — u tego autora nader często — nowa książka. Przypomnę szermierki Drozdowskiego o ocenę międzywojennego dwu-

cie Drozdowskiego, zatytułowaną: „Ignacy Jan Paderewski. Zarys biografii politycznej”, która ukazała się właśnie (z datą 1979) nakładem młodego, ale bardzo dynamicznego Wydawnictwa Interpress.

„Jak w wielu polskich rodzinach, tak i w mojej żyła była legenda Ignacego Paderewskiego”, powiada Marian Marek Drozdowski na wstępie swojej książki. Nie każdy wyniósł z młodości podobne doświadczenia, ale to, że nazwisko mistrza Ignacego Jana odczuwane było jeszcze za jego życia legendą, wątpliwości przecież nie podlega. Kiedy historyk staje w obliczu legendy, ma przed sobą dwa wyjścia: albo poddać się jej, bądź przystąpić do jej weryfikacji. Pierwsze daje za-

20 listopada 1979 r. setki muzułmańskich fanatyków, uzbrojonych po zęby, zdobywają szturmem wielki meczet w Mekce. Koszowne amerykańskie satelity obserwacyjne nie dostrzegły żadnych podejrzanych ruchów na pustyni.

W styczniu 1979 r. zdawało się, że Amerykanie wiedzą wszystko na temat Iranu. Aż do ostatniej chwili nie wierzyli w zwycięstwo rewolucji islamskiej. Wpływ Chomeiniego na masę ludową nie został uwzględniony w mózgach maszyn matematycznych CIA.

Można wiedzieć wszystko o danym kraju i niczego nie rozumieć. Można dokonywać zdjęć przedmiotów tak małych, jak piłka tenisowa, a równocześnie zupełnie nie zdawać sobie sprawy z intencji przeciwnika. Można bezsensownie trwonić miliardy dolarów, gdy równocześnie wystarczą oczy i uszy dobrego obserwatora, aby zdać sobie sprawę z kryzysu ogarniającego Iran, Afganistan i Arabię Saudyjską.

Jest to problem rywalizacji między czynnikiem ludzkim w służbach wywiadowczych a sprzętem elektronicznym. Czynniki ludzkie określane terminem „Humint”, to przede wszystkim informacje dostarczane przez agentów działających w terenie. Sprzęt elektroniczny określa się natomiast terminem „Elint”. 50 proc. informacji zbieranych przez CIA dostarczanych jest dzięki elektronicznie, 40 proc. pochodzi z takich źródeł jak książki, dzienniki, podręczniki. Tylko 5 proc., to informacje dostarczane bezpośrednio przez agentów. Zaledwie ułamek danych pochodzi od obcych służb, współpracujących ze Stanami Zjednoczonymi.

KŁOPOTY ADMIRAŁA TURNERA

Ogólny budżet wydatków na amerykańskie informacje elektroniczne przekracza 50 mld franków rocznie (satelity, stacje podśluchowe, samoloty rekonesansowe). W okresie 30 miesięcy od stycznia 1977 do września 1979 roku CIA przeprowadziła za granicą zaledwie trzy operacje specjalne. Dopiero po wydarzeniach w Afganistanie uzyskała ona zgodę na realizację sześciu dalszych operacji tego typu.

Wydarzenia w Iranie to znakomity przykład fiaska amerykańskiego wywiadu elektronicznego. Pod koniec 1978 r. amerykańskie maszyny matematyczne otrzymują masę szpiegowskich informacji. Wszyscy oficerowie armii irańskiej zostali zarejestrowani, podobnie jak wszyscy działacze opozycji. Podsluch radiowy funkcjonuje znakomicie, natychmiast też znane są ruchy czołgów i loty samolotów. Szachowi nie grozi wcale żadne zakłócenie. Amerykanie wiedzą wszystko, z wyjątkiem zasadniczej kwestii. Armia irańska nie będzie bić się, rozpłyne się w masach ludowych, a nagraje na taśmę magnetofonową przemówienia starego ajatollaha zapowiadającego już kres imperium. Zdali już sobie z tego sprawę „diplomaci” izraelscy którzy — wszyscy bez wyjątku — mówią językiem farsy i zbierają swe informacje na bazarach. Podejrzewają to także Francuzi. Jednakże nie wie o tym szef lokalnej służby CIA mający do swej dyspozycji setki agentów w Teheranie i 3 tajne bazy w tym kraju. Ani on, ani większość jego ludzi nie mówią językiem farsy, a zresztą za główne zadanie uznają nasłuchiwanie tego, co dzieje się w Związku Radzieckim.

Wydarzenia w Iranie są strasznym zaskoczeniem dla admirała Turnera. Ten zawodowy oficer, liczący dziś 57 lat, jest kolegą Jimmy'ego Cartera z akademii marynarki wojennej w Annapolis. Objął on Centralną Agencję Wywiadowczą w lutym 1977 roku w trudnych warunkach. Kongres odwołał właśnie Teda Sorensona, byłego specjalnego doradcę Johna Kennedy'ego, którego podejrzewano o lewicowość.

W ciągu dwu lat Turner zwolnił ponad 1.000 funkcjonariuszy, zarówno cywilnych jak i wojskowych. Zamierzał on przywrócić porządek w swej „firmie” całkowicie sparaliżowanej od końca wojny w Wietnamie i upadku Nixona. Jednakże metoda, jaką wybrał była zaskakująca. O przydatności każdego agenta miała decydować maszyna matematyczna, a jej werdykt był bezapelacyjny. Turner nie zgadzał się na inne kryteria, nawet jeśli chodziło o najlepszych agentów CIA, których w ten sposób wyrzucono na bruk uznając za „niekompetentnych”.

Od czasu śledztwa przeprowadzonego przez komisję senatora Churcha w 1975 r. Centralna Agencja Wywiadowcza znajduje się pod ścisłą kontrolą parlamentarną. Aż 8 komisji Kongresu ma prawo nadzorować jej działalność. 204 osoby (163 parlamentarzystów i 41 urzędników) są obowiązkowo informowane o najważniejszych nawet poczynaniach CIA.

Admirał Turner zaszył się w swym biurze na siódmym piętrze, dokąd jego goście przybywają bezpośrednio odrębną windą. Wszystko tchnie tu spokojem i luksusem, wszystko wyłożone jest grubymi dywanami, a z okien rozciąga się wspaniały widok na las Langley u bram Waszyngtonu. Admirał zwykle częstuje swych gości ulubionymi przez siebie trunkami.

Demokratyczny senator z Nowego Jorku, Daniel Moynihan twierdzi, że w biurach CIA w Langley agenci koncentrują się na studiach i opracowaniach, które równie dobrze mogłyby powstać w Bibliotece Kongresu. Biedny admirał. W sierpniu 1979 r. próbuje przejść do działania, zamiesz-

Międzynarodowy Komitet Olimpijski potwierdził jednomyślnie swoją decyzję, że letnie igrzyska olimpijskie odbędą się w 1980 roku w Związku Radzieckim. Niemniej Biały Dom podejmuje gorączkowe wysiłki, żeby zablokować olimpiadę moskiewską, posuwając się nawet do pogroźek, co wzbudza oburzenie wielu państw, działaczy politycznych i społecznych, a przede wszystkim sportowców. Waszyngtońscy politycy, w dążeniu do zaspokojenia osobistych ambicji prezydenta Cartera, chcą za wszelką cenę narzucić innym ośmstwom, na szczęblu rządowym, swoją decyzję bojkotu olimpiady w Moskwie. Żeby zmusić następne do podjęcia takiej decyzji narodowe komitety olimpijskie.

14 kwietnia Komitet Olimpijski USA ugiął się pod naciskiem gwałtownej i trwającej już parę miesięcy kampanii prowadzonej przez administrację waszyngtońską i podjął uchwałę o nieuczestniczeniu reprezentacji Stanów Zjednoczonych w letnich igrzyskach olimpijskich w Moskwie.

W Waszyngtonie nie ukrywa się nawet, że amerykańska kampania antyolimpijska ma wyraźne cele polityczne. A do jakiego stopnia jest absurdalna, świadczy niedawne oświadczenie ministra obrony USA Harolda Browna, że „udział sportowców amerykańskich w moskiewskiej olimpiadzie stanowiłby cios dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych”.

Jak podają zachodnie agencje informacyjne, konferencja krajów występujących z bojkotem moskiewskiej olimpiady, obradująca w Genewie w ubiegłym miesiącu, zakończyła się fiaskiem. Nadzieje USA na przeciwniejsze na swoją stronę choćby części państw — przyszłych uczestników letniej olimpiady w Moskwie — nie spełniły się.

W antyolimpijskim spotkaniu w Genewie wzięli udział delegacje: USA, Anglii, Australii, Arabii Saudyjskiej i Republiki Dominikańskiej. Cztery kraje: Portugalia, Kanada, Filipiny i Kostarykę reprezentowali obserwatorzy. W spotkaniu nie wzięły udziału takie wielkie zachodnioeuropejskie kraje, jak Francja RFN, Włochy. W związku z tym komentarz BBC zauważył, że „jeszcze raz zademonstrowano różnice stanowisk Francji i RFN z jednej strony, a USA z drugiej”. Organizatorzy „antyolimpijskiej konferencji” byli zmuszeni przyznać, iż „bardzo wiele narodowych komitetów olimpijskich chciałoby wysłać swoich sportowców do Moskwy”.

Przewodniczący narodowego Komitetu Olimpijskiego RFN W. Daume, powiedział: „Igrzyska olimpijskie nie znajdują się w gestii amerykańskiego prezydenta. Nie znajdują się także w

gestii ani Moskwy, ani Waszyngtonu, ale wyłącznie Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego”. W Izbie Gmin parlamentu brytyjskiego przeprowadzono 17 marca debaty w sprawie udziału Wielkiej Brytanii w igrzyskach olimpijskich. Izba przegłosowała wniosek o bojkocie olimpiady, ale postanowienia tej rezolucji nie są obowiązujące dla brytyjskich sportowców, z których większość mówi o otwarciu o zamiarze wyjazdu do Moskwy. S. Reew, brytyjska zawod-

do Moskwy. Dziennik „Sunday Times” wskazuje, że „nawet członkowie parlamentu z ramienia partii konserwatywnej wyrażają wątpliwość, czy metody obrane przez M. Thatcher są słuszne”.

Prezydent Brytyjskiego Stowarzyszenia Olimpijskiego popierał propozycję zorganizowania tzw. alternatywnych igrzysk. Powiedział on, że identyczny punkt widzenia reprezentują wszystkie komitety olimpijskie krajów zachodnioeuropejskich, w liczb-

SPORTOWCY POTEPIAJĄ KAMPANIĘ ANTYOLIMPIJSKĄ

niezka w skoku w dal, zatrudniona w sektorze ubezpieczeń społecznych w Birmingham, oświadczyła publicznie, że pojedzie na igrzyska w Moskwie, nawet za cenę utraty pracy. Jak poinformował dziennik „Morning Star”, związek zawodowy pracowników państwowych i miejskich, którego członkiem jest S. Reew, poinformował, że jeśli zajdzie potrzeba, zaleci przeprowadzenie strajku podczas igrzysk, żeby pozbawić konserwatywny rząd brytyjski — który, jak wiadomo, zabronił pracownikom państwowym wyjazdu na igrzyska olimpijskie w Moskwie — legalnych możliwości zastosowania sankcji wobec osób, które naruszają ten zakaz. Przywódcy wielu związków zawodowych złożyli obietnicę okazania pomocy materialnej sportowcom, którym odmówi się płatnego urlopu w związku z wyjazdem na olimpiadę.

Dzienniki brytyjskie potępiają zamiar konserwatystów wykorzystania igrzysk olimpijskich jako instrumentu nacisku politycznego na Związek Radziecki, jak również sankcje rządowe wobec brytyjskich sportowców. Podkreśla się, iż „dążenie M. Thatcher do bojkotu igrzysk jest sprzeczne z dążeniami narodu angielskiego”. „Observer” podkreśla, że badania opinii publicznej przez redakcję tego dziennika wskazują, iż 69 proc. Anglików wypowiada się za wysłaniem angielskich sportowców na olimpiadę

bie 15. które brały udział w konferencji w Brukseli (odbyła się 22 marca, wzięli w niej udział przedstawiciele narodowych komitetów olimpijskich krajów zachodnioeuropejskich — red.). „Każdy z uczestników spotkania w Brukseli wyrażał się jak najbardziej krytycznie o nacisku wywieranym w sprawie zakazu wyjazdu do Moskwy” — powiedział prezydent Brytyjskiego Stowarzyszenia Olimpijskiego.

Nie dziwnego, podkreśla komentator sportowy brytyjskiego dziennika „Daily Telegraph”, że „Brytyjskie Stowarzyszenie Olimpijskie podjęło 25 marca decyzję w sprawie wzięcia udziału w igrzyskach olimpijskich”. Komentując tę decyzję amerykańska gazeta „New York Times”, zauważyła: „Decyzja ta jest dotkliwym ciosem dla kampanii prezydenta Cartera”.

Mimo antyolimpijskiej kampanii, na całym świecie trwają przygotowania do wzięcia udziału w letnich igrzyskach olimpijskich. Coraz więcej narodowych komitetów olimpijskich podejmuje decyzję w sprawie wysłania swych reprezentacji na moskiewską olimpiadę. Ignorując prowokacyjne apele Białego Domu i posłusznym mu rządów niektórych krajów — unoszących nurt amerykańskiej polityki.

JERZY CZECH

Wydarzenia na linii Teheran — Waszyngton od dłuższego czasu utrzymują się w polu widzenia nie tylko polityków i komentatorów. Dlatego wręcz „zaszumiało” w świecie, gdy prez. Carter zerwał stosunki dyplomatyczne USA z Iranem i zażądał szybkiego opuszczenia przez akredytowanych dyplomatów irańskich Waszyngtonu. Zapowiedział też sankcje gospodarcze wobec Iranu. Co więcej — oczekuje, że zachodnioeuropejscy sojusznicy Stanów Zjednoczonych udzielą konkretnego poparcia jego polityce stosowania środków represyjnych. W chwili, gdy piszemy te słowa, w zaprzyjaźnionych z USA stolicach o tym popieci głuchoch. EWG, na posiedzeniu ministrów spraw zagranicznych w Lizbonie, postanowiła wyjaśnić w Teheranie kiedy zwolnieni zostaną zakładnicy, zamiast więc sankcji zalecała akcję dyplomatyczną, a Japonia oświadczyła, że uwzględni w sprawie Iranu stanowisko innych sojuszników USA. Jak widać — Carter wprawił zaprzyjaźnione państwa

TYDZIEŃ W POLITYCE

w zakłopotanie i wiele z nich z praktycznych względów ociaga się z przyłączeniem do amerykańskiego stanowiska. Iran zareagował na decyzję Cartera przede wszystkim zapowiedzią zwarcia jedności (Prez. Bani Sadr: „Wróg napotka żelazny mur naszej jedności”) i gotowości przeciwdziałania się amerykańskiemu zagrożeniu.

Chomeini powiedział, że dzień zerwania stosunków powinien być dniem światła w Iranie, gdyż Waszyngton zmuszony jest tym samym przyznać, iż jego polityka zamienia się w ruinę. Od tego dnia kończy się też grabież naszego kraju — dodał. Uzupełnijmy, że władze teherańskie zapowiedziały, iż wstrzymają dostawy ropy dla każdego kraju, który przyłączy się do amerykańskich sankcji.

Trwający już wiele miesięcy kryzys w stosunkach Waszyngton — Teheran wkroczył w nowy etap. Niesie on wielokrotnie następstwa i z pewnością, jak zauważają liczni komentatorzy, nie polepszy losu amerykańskich zakładników.

Carter — tak to można ocenić — nie wytrzymał nerwowo i podjął fałszywą decyzję.

Jeśli o prezydencie Stanów Zjednoczonych mowa — skomentujemy w tym miejscu jego rozmowę z prez. Sadatem, który przebywał z wizytą w Waszyngtonie. Jej celem było przełamanie impasu egipsko-izraelskiego głównie w kwestii autonomii dla Palestyńczyków. Agencje zachodnie podkreślają, że w rozmowach nie osiągnięto niczego konkretnego. Zobowiązano się tylko podtrzymywać wysiłki, poszukując rozwiązania.

Z tych samych źródeł dowiadujemy się, że rząd izraelski zobowiązał swego premiera do trzymania się ściśle postanowień z Camp David. Begin udał się do Waszyngtonu w tym samym celu co Sadat, a zalecenia dla niego ustalone przez rząd oznaczają, iż nie zanosz się na wyjście z impasu.

Dla ubiegającego się ponownie o fotel prezydencki Cartera, wobec wszystkich obecnych złożoności, w jakie sam wmanewrował się Biały Dom, postęp w dialogu egipsko-izraelskim mógłby być atutem wyborczym. Stąd nowa misja mediacyjna prezydenta.

Tymczasem Izrael podjął działania militarne wobec Libanu. W minioną środę oddziały izraelskie wkroczyły na obszar Libanu i zajęły szereg pozycji, które umocniły. Tel Awiw wyjaśnił, że celem interwencji jest zamknięcie drogi fedalnemu palestyńskiemu. Cokolwiek by ogłoszono — jest to otwarta agresja.

Przenieśmy się teraz do Europy. W pierwszej kolejności odnotujmy echa prasowe wspólnej inicjatywy PZPR i FPK zwołania do Paryża na 28 i 29 kwietnia spotkania europejskich partii komunistycznych i robotniczych, które, jak wiadomo, poświęcone będzie tylko jednej sprawie: zapewnieniu pokoju.

W Europie — podkreślają zagraniczne komentarze — rozstrzygnie się, czy dorobek lat siedemdziesiątych w dziedzinie odprężenia międzynarodowego będzie utrzymany, czy też jego przeciwnikom uda się skutecznie zakłócić ten proces.

Dlatego tak ważna jest wymiana poglądów i propozycji między komunistami, którzy przecięt od lat walką o trwały pokój i rozbrojenie. Będzie to trybuna, z której rozlegnie się głos, nawołujący wszystkich ludzi dobrej woli do zespolenia wysiłków w obronie zagrożonego pokoju.

O tym, że mimo wszystkich komplikacji doby obecnej kraje socjalistycznej wspólnoty nie rezygnują z walki o rozbrojenie, świadczy propozycja ZSRR na forum genewskiego Komitetu Rozbrojeniowego powołania międzynarodowej grupy ekspertów, która podjęłaby prace nad projektem porozumienia o powszechnym zakazie rozwijania i produkcji nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady. Propozycja ta zakłada również, że pod auspicjami komitetu śledzono by te dziedziny prac naukowych i odkrycia, które mogą stanowić punkt wyjścia do konstrukcji nowych typów broni.

Nowa radziecka propozycja wywołała duże zainteresowanie.

W. SŁAWSKI

(...) Można sobie wyobrazić coś w rodzaju inspekcji galaktycznej, założonej przez współpracujące z sobą cywilizacje zamieszkujące wiele planet Drogi Mlecznej. Ta inspekcja obserwuje nowo powstające planety i wyszukuje te, których jeszcze dotąd nie odkryto. Układ Słoneczny położony jest na peryferiach naszej galaktyki i łatwo mógł uciec uwadze badaczy inspekcji. Może być tak, że docierają do nas statki kosmiczne badaczy, ale np. co dziesięć milionów lat i w czasach historycznych żaden nie odwiedził Ziemi. Możliwe jest także, że kilka podobnych zespołów badaczy dotarło do nas na tyle niedawno, że nasi przodkowie lub nawet historycy odnotowali ten fakt.

Radziecki astrofizyk, I. S. Szkolowski i ja omówiliśmy tę możliwość w naszej książce „Życie rozumne we wszechświecie”, wydanej w roku 1966. Zbadaliśmy wiele przedmiotów, legend i zjawisk kulturowych wielu ludów i doszliśmy do wniosku, że żaden ze zbadanych przypadków nie dostarcza nawet częściowo przekonującego dowodu na kontakty z kosmitami. W każdym przypadku możliwe było znalezienie innego, bardziej prawdopodobnego wyjaśnienia, uwzględniającego ludzkie możliwości i postępowanie (...).

Przypadki interesujące z długiej listy przedmiotów zainteresowania tzw. astroarcheologii mają zupełnie logiczne i naturalne wytłumaczenie, lub też ich tajemniczość jest wynikiem nieścisłych relacji: są także przypadki dwuznaczne, fałszywe lub zniekształcone. Będą tu argumentacje dotyczące map Piri Reisa, posągów z Wyspy Wielkanocnej, rysunków z płaskowyżu Nazca, a także różnych znalezisk z Meksyku, Uzbekistanu i Chin.

Poza tym jakże łatwo byłoby wyśmalić kosmologię obcej cywilizacji pozostawiając całkowicie jednoznaczny ślad swojej wizyty. Na przykład wielu fizyków jądrowych uważa, że istnieje „wyspa stabilizacji” jąder atomowych, zbliżona do hipotetycznego superciężkiego atomu zawierającego 114 protonów i około 184 neutronów. Wszystkie pierwiastki chemiczne cięższe od uranu (którego jądro zawiera 238 protonów i neutronów) natychmiast rozpada się w kosmosie krótkich okresach czasu. Istnieją jednak powody do przypuszczenia, że gdyby wytworzyć pierwiastki, których jądra zawierają 114 protonów i 184 neutronów, wzajemnie powiązane podziałkami elementarnymi byłyby tego rodzaju, że można by w ten sposób otrzymać pierwiastki trwałe. Zadanie to jest ponad nasze możliwości przy obecnym poziomie techniki i oczywiście było ponad możliwości naszych przodków. Stąd też przedmiot metalowy zawierający podobne pierwiastki byłby niepodważalnym dowodem wizyty na Ziemi, złożonej w jej zamierzchłej przeszłości przez przedstawicieli jakiegokolwiek rozwiniętej cywilizacji spoza Ziemi.

Ważymy także pod uwagę pierwiastek technet, którego najtrwalszy izotop zawiera w jądrze 99 protonów i neutronów. Okres rozpadu połowicznego tego pierwiastka wynosi 200 tysięcy lat. Widać stąd, że cały technet, wytworzony w procesie powstawania gwiazd miliardy lat temu, musiał już całkowicie ulec rozpadowi. Technet na Ziemi jest pochodzenia sztucznego (co również potwierdza jego nazwa). Znalezisko zawierające technet miałooby jednoznaczny wymowę.

Tak samo istnieją na Ziemi pierwiastki pospolite, nie mieszające się z sobą, np. glin i ołów. Po ich stopieniu ołów, jako znacznie cięższy, opada na dno, a glin występuje w stanie nieważkości w czasie lotów kosmicznych nie występuje grawitacja, która powoduje opadanie ołowiu, i możliwa jest produkcja podobnie niespotykanych stopów, jak Al/Pb. Jednym z dowodów, które zostaną przeprowadzone w czasie pierwszych lotów promu kosmicznego NASA będzie zbadanie technologii produkcji takich stopów. Jakkolwiek wiadomości zapisane na płycie stopu glinowo-olowiowego i powierzone dawnej cywilizacji ziemskiej na pewno zwróciłyby naszą uwagę dzisiaj (...).

Z jednym, wyróżniającym się wyjątkiem, nie ma dotąd relacji dostatecznie dokładnych, aby po odrzuceniu innych wyjaśnień można było uznać je za rezultat wykładania nowoczesnej fizyki lub astronomii ludzkom ery przedtechnicznej. Tym jedynym wyjątkiem jest zdumiewająca mitologia dotycząca gwiazdy Syriusz, występująca wśród ludu Dogonów, zamieszkujących Republikę Mali w Afryce Zachodniej.

Dogonowie, których nie ma dziś więcej niż kilka tysięcy, od ponad czterdziestu lat są przedmiotem intensywnych badań antropologicznych. Niektóre części ich mitologii przypominają legendy cywilizacji starożytnego Egiptu, toteż niektórzy

antropologowie założyli istnienie pewnych kulturalnych powiązań Dogonów ze starożytnym Egiptem. Wschody heliskalne Syriusza, środek kalendarza egipskiego, stosowano do przepowiadania wylewów Nilu.

Najbardziej zdumiewające aspekty astronomii Dogonów przedstawił francuski antropolog Marcel Griaule, działający w latach trzydziestych i czterdziestych. I choć nie ma powodów, by wątpić w relacje Griaule'a, trzeba zaznaczyć, że nie istnieje żaden wcześniejszy zapis tych zdumiewających wierzeń ludowych Dogonów, a także, że wszystkie informacje na ten temat otrzymano za jego pośrednictwem. Cała sprawa została ostatnio spopularyzowana przez pisarza brytyjskiego, R. K. G. Temple'a.

W odróżnieniu od prawie wszystkich społeczeństw przednaukowych Dogonowie uważają, że planety, a w tym i Ziemia, obiegają się wokół swych osi i obiegają Słońce.

nie są związane z jądrami, może ona być uważana za metal. Ponieważ Syriusz A nosi nazwę Psiej Gwiazdy, Syriusza B nazwano potocznie Szczeniściem.

Na pierwszy rzut oka Syriuszowa legenda Dogonów wydaje się być znakomitym dowodem na dawne kontakty człowieka z rozwiniętą cywilizacją pozaziemską. Gdy jednak chcemy bliżej przyjrzeć się całej historii, należy pamiętać, że tradycja astronomiczna Dogonów istnieje tylko w przekazie ustnym, że pierwsze informacje o niej mamy zaledwie od czterdziestu lat i że wszelkie rysunki Dogonów powstają techniką patyka na płasku. (A, nawiasem mówiąc, istnieje przypuszczenie, że Dogonowie lubią wszystkie malowidła otaczać elipsami i że Temple może mylić się w swoim przypuszczeniu, że w mitologii Dogonów planety i Syriusz B poruszają się po orbitach eliptycznych).

Gdy badamy całość mitologii Dogonów, znajdujemy bogatą i szcze-

Psiej Gwiazdy obalilo białe posagi". Na podstawie tych niezbyt pewnych źródeł powstała wśród astrofizyków pokusa, aby przyjąć, że białe karzele Syriusz B był jeszcze w czasach historycznych czerwonym olbrzymem widocznym gołym okiem, a jego blask przyciemniał światło Syriusza A. W ewolucji Syriusza B niewątpliwie istniał okres, gdy jego blask był równy blaskowi Syriusza A, a ruch obu gwiazd względem siebie widoczny był gołym okiem.

Ale wedle aktualnego stanu wiedzy o teorii ewolucji gwiazd po prostu nie upłynęło dość czasu od momentu na kilka wieków przed Horacym do chwili obecnej, aby Syriusz B mógł przejść ze stanu czerwonego olbrzyma do białego karla. Co więcej, byłoby niezrozumiałe, że nikt poza Dogonami nie zauważył tych dwóch gwiazd okrążających się co 50 lat, które byłyby najjaśniejszymi gwiazdami na niebie. W dawnych wiekach istniałyby znakomite szkoły astronomii obser-

sując prawo ciążenia Newtona. Okazuje się, że Syriusz B ma masę zbliżoną do Syriusza A, świeci jednak 10 tysięcy razy słabiej od niego, mimo że znajdują się w tej samej odległości od Ziemi. Można to wytłumaczyć jedynie tym, że Syriusz B ma znacznie mniejszy promień lub niższą temperaturę.

W końcu wieku XIX astronomowie wyrażali pogląd, że gwiazdy o tej samej masie mają w przybliżeniu tę samą temperaturę; panowało przekonanie, że temperatura Syriusza B jest stosunkowo wysoka. Obserwacje spektroskopowe, dokonane przez Waltera S. Adamsa w 1915 roku, potwierdziły ten pogląd. Tym samym Syriusz B. musiał być gwiazdą niezwykle małą.

Dziś wiemy, że jest on zaledwie wielkością Ziemi. Ze względu na jego wielkość i barwę nazywamy go białym karłem. Skoro jednak Syriusz B jest znacznie mniejszy od Syriusza A, jego gęstość musi być dużo większa. Tym samym przekonanie, że Syriusz B jest gwiazdą o ogromnej gęstości, rozpowszechniło się w pierwszej połowie obecnego stulecia.

Szczególny charakter Syriusza B został dokładnie opisany w książkach i prasie. W pracy sir Arthura Stanleya Eddingtona pt. „The Nature of the Physical World” czytamy: „Świadectwa astronomiczne praktycznie nie pozostawiają wątpliwości co do faktu, że wewnątrz tzw. białych karłów gęstość materii daleko przewyższa wszystko, z czym mamy do czynienia na Ziemi. Na przykład towarzysz Syriusza jest ciałem o gęstości rzędu około tony na cal sześcienny. Zjawisko to można wytłumaczyć faktem, że wysoka temperatura i równie silne wstrząsy substancji rozrywają (jonizują) zewnętrzną powłokę elektronową atomów, tak że cząsteczki elementarne znajdują się znacznie bliżej siebie”. W rok po ukazaniu się w roku 1928 książki doczekała się dziesięć kolejnych wydań w języku angielskim i wielu tłumaczeń, w tym na język francuski.

Poglądy, że białe karły zbudowane są ze zwyrodniałej materii, zaproponował R. H. Fowler w roku 1926, a środowisko naukowe szybko go zaakceptowało. Przypuszczenie, że białe karły zbudowane są z materii „zwyrodniałej” (relatywistycznej) wyrażał po raz pierwszy astrofizyk hinduski S. Chandrasekar w latach 1931—1934. Opinia ta spotkała się ze znacznym sceptycyzmem ze strony astronomów, którzy nie nadawali za rozwojem mechaniki kwantowej. Jednym z najzagorzalszych przeciwników tej teorii był Eddington. Dyskusja znalazła odbicie w prasie naukowej i nawet przeciętnie inteligentny laik miał do niej dostęp. Wszystko to działo się niewiele przed okresem, w którym Griaule po raz pierwszy zetknął się z Syriuszową legendą Dogonów.

Wyobrażam sobie francuskiego podróżnika, który zatrzymał się u Dogonów w ówczesnej Francuskiej Afryce Zachodniej — w latach trzydziestych naszego wieku. Mógł on równie dobrze być dyplomata, odkrywca lub poszukiwaczem przygód czy też ówczesnym antropologiem. Ludzie tego pokroju, że wspomnę choćby Richarda Francisca Burtona, odwiedzali Afrykę Zachodnią już dziesiątki lat wcześniej.

Rozmowa białego podróżnika z Dogonami kieruje się ku astronomii. Syriusz jest najjaśniejszą gwiazdą na niebie. Dogonowie raczą gościa swą mitologią dotyczącą tej gwiazdy. Pytają go następnie z uprzejmym uśmiechem, co jego mitologia mówi o Syriuszu. Podróżnik, być może, przed udzieleniem odpowiedzi zagląda do podniszczonej już książki, którą ma w bagażu. I tak aktualna sensacja astronomiczna — odkrycie białego karla towarzyszącego Syriuszowi — trafia do Dogonów jako kolejny szczebel mitu.

Po odejściu gościa jego opowiadanie zostaje zapamiętane, wielokrotnie powtórzone i w końcu włączone do mitologii Dogonów — co najmniej jako „wersja białych ludzi”. Gdy Griaule dopytywał się o mity w latach trzydziestych i czterdziestych „odtworzono” mu Syriuszowe mity rodem z Europy.

Ten kompletny powrót mitu do kultury, która go zrodziła, przez pośrednictwo niezbyt dokładnego antropologa, mógłby wydawać się czymś nie do wiary, gdyby dzieje antropologii nie zawierały wielu podobnych przykładów. Zacytujemy tu kilka:

ciąg dalszy nastąpi
Tłum. WIKTOR BUKATO
(„Problemy”)

CARL SAGAN

CZY KOSMICI ODWIEDZALI DOGONÓW?

Jest to, co prawda wniosek, do którego dojść można i bez pośrednictwa zaawansowanej techniki, co widać na przykładzie Kopernika; niemniej jednak pogląd taki rzadko spotykany był wśród ludów pierwotnych zamieszkujących Ziemię. Nauczycieli go wszakże w starożytnej Grecji: Pitagoras i Filolaus, którzy utrzymywali, według Laplace'a, że planety są zamieszkane, a gwiazdy to słońca rozsiane we wszechświecie, będące ośrodkami układów planetarnych. Takie poglądy przemierzane z różnorodnością sprzecznych pojęć, mogą być jedynie natchnionymi domysłami.

Starożytni Grecy uznawali istnienie zaledwie czterech pierwiastków — ziemi, ognia, wody i powietrza — składających się na wszystko, co nas otacza. Wśród filozofów poprzedzających Sokratesa byli i tacy, którzy faworyzowali ten czy inny spośród tych pierwiastków. I jeśli później okazało się, że rzeczywiście wszechświat ma któregoś z nich więcej, nie powinniśmy z tego powodu przypisywać nadzwyczajnej wiedzy temu filozofowi, który go faworyzował. Zwykła statystyka spowodowała, że ktoś musiał mieć rację. Z tego samego powodu, gdy mamy do czynienia z setkami czy tysiącami kultur, z których każda wytworzyła własną kosmologię, nie powinniśmy dziwić się, gdy co jakiś czas, zupełnie przypadkowo napotykamy poglądy, które są nie tylko zgodne z prawdą, ale także niemożliwe do ustalenia, wyjątkiem na drodze rozumowania.

Jednakże, według Temple'a, Dogonowie posuwają się dalej. Utrzymują, że Jowisz ma cztery księżyce, a Saturn otoczony jest pierścieniem. Być może jest możliwe, że jednostki oddarzone nadzwyczajnym wzrokiem potrafią w idealnych warunkach obserwacyjnych dostrzec Galileuszowe księżyce Jowisza i pierścienie Saturna. Ale takie wyjaśnienie granicy już z nieprawdopodobieństwem. Dogonowie również umieszczają planety na prawidłowych orbitach, nie kołowych lecz eliptycznych.

Jeszcze bardziej uderzające wieści Dogonów dotyczą Syriusza, najjaśniejszej gwiazdy nieba. Uważają oni, że ma on ciemną i niewidoczną gwiazdę towarzyszącą, która okrąża go (po orbicie eliptycznej, jak podaje Temple) co pięćdziesiąt lat. Twierdzą, że gwiazda — towarzysząca jest bardzo mała i ciężka, zbudowana ze specjalnego metalu, zwanego sagala, który nie znajduje się na Ziemi.

Zdumiewające jest to, że widoczna gwiazda, Syriusz A, rzeczywistocie ma ciemnego towarzysza, Syriusza B, który okrąża Syriusza A po orbicie eliptycznej co 50,4±0,09 lat. Syriusz B jest pierwszym przykładem białego karla, odkrytym przez współczesną astrofizykę. Materia, z której jest utworzony, znajduje się w stanie zwanym relatywistycznie zdegenerowanym, który nie występuje na Ziemi; ponieważ w takiej zwyrodniałej materii elektrony

główną strukturę legendy — o wiele bogatszą, jak stwierdziło wielu antropologów, niż mity ich najbliższych sąsiadów geograficznych. Gdy mamy do czynienia z mnogością legend, możliwość zbieżności jednej z nich z obserwacjami współczesnej nauki oczywiście znacznie się zwiększa. Uboga mitologia ma mniej możliwości do wywoływania takich przypadkowych podobieństw. Ale, gdy zbadamy pozostałą część mitologii, czy znajdziemy tam inne legendy, ludzkość przypominającą obserwacje nauki współczesnej?

Kosmogonia Dogonów opisuje, jak Stwórca ogłądał pleciony koszyk o kwadratowym dnie i okrągłym otworze. Takie koszyki są do chwili obecnej w użyciu w Mali. Stwórca odwrócił koszyk do góry dnem i użył go jako modelu do stworzenia świata; przy czym kwadratowe dno przedstawiało niebo, a okrągły otwór — Słońce. Moim zdaniem, nie jest to jakiś szczególnie odkrywczy pogląd prowadzący do nowoczesnego myślenia kosmologicznego.

W części dotyczącej stworzenia na Ziemi, mitologia Dogonów mówi, że Stwórca wszczepił w jajo dwie pary bliźniąt, z których każda składała się z osobnika męskiego i żeńskiego. Bliźnięta miały dojrzewać wraz z jajem i połączyć się, aby utworzyć jednorodną, „doskonałą” istotę dwupciową. Ziemia powstała wówczas, gdy jedno z bliźniąt wy dostało się z jaja przed osiągnięciem dojrzałości, skutkiem czego Stwórca postanowił poświęcić drugie z bliźniąt, by zachować swoistą harmonię kosmiczną. Mitologia ta jest bardzo urozmaicona i ciekawa, ale nie wydaje się być jakościowo różna od wielu innych mitologii i religii ludzkości.

Hipoteza gwiazdy towarzyszącej Syriuszowi mogła być naturalnym wynikiem centralnej roli bliźniąt w mitologii Dogonów; nie ma jednak podobnie naturalnego wytłumaczenia dla sprawy czasu obiegu i gęstości jego towarzysza. Syriuszowy mit Dogonów jest znaną bliźniątą do nowoczesnego sposobu myślenia astronomów i znaną precyzyjną astronomię, aby można było wytłumaczyć wyłącznie działaniem przypadku. A wszak istnieje on, otoczony mniej lub bardziej przeciętną legendą okresu przednaukowego. Jakież może być jego wytłumaczenie? Czy jest możliwe, że Dogonowie lub ich przodkowie kulturowi ogłędali Syriusza B na własne oczy i obserwowali jego obieg wokół Syriusza A?

Białe karły, takie jak Syriusz B, powstają w wyniku ewolucji z czerwonych olbrzymów odznaczających się olbrzymią jasnością koloru — co wynika z nazwy — czerwonego. Dawni pisarze wieków naszej ery opisywali Syriusza jako gwiazdę koloru czerwonego. W przypowieści Horacego pt. „Hoc Quoque, Tiresia” (jak się szybko wzbogacić) znajduje się cytaty z wcześniejszego utworu, który brzmi: „Ciepło czerwonej

wacyjnej w Mezopotamii i Aleksandrii, nie mówiąc już o szkołach astronomów chińskich i koreańskich — i zastanawiające jest, że astronomowie z tych szkół niczego nie zauważyli. (Co więcej, termin używany w starożytnym Egipcie dla określenia Marsa można przetłumaczyć jako „czerwony Horus”. Widać stąd, że egipscy astronomowie zwracali uwagę na szczególne zabarwienie ciał niebieskich, a w przypadku Syriusza egipski opis tej gwiazdy nie mówi nie szczególnie o kolorze).

Dogonowie dysponują wiedzą nie-możliwą do uzyskania bez teleskopu. Płynnie stąd bezpośredni wniosek, że mieli oni kontakt z wysoko rozwiniętą cywilizacją. Powstaje jednak pytanie, co to była za cywilizacja — pozaziemska czy europejska?

Dużo bardziej wiarygodny niż starożytne kontakty „naukowe” Dogonów z kosmitami byłoby stosunkowo niedawny kontakt z wysłannikami Europejczykami, którzy przekazali Dogonom zdumiewający mit o Syriuszu i jego towarzyszu — białym karle; mit, który ma wszelkie zewnętrzne cechy wyszukanej mityfikacji. Być może autorem kontaktu był europejski podróżnik po Afryce, mogli to być także mieszkający Afryki Zachodniej zmuszeni do walki po stronie Francji w czasie I wojny światowej.

Niedawne odkrycie astronomiczne zwiększyło jeszcze prawdopodobieństwo, że opowiadania Dogonów są raczej pochodzenia europejskiego niż pozaziemskiego. W roku 1977 zespół badawczy z Cornell University pod kierownictwem Jamesa Eliota podczas lotu na pokładzie samolotu — obserwatorium nad Oceanem Indyjskim odkrył, że planeta Uran jest otoczona pierścieniami, na co, jak dotąd, nie wskazywały żadne obserwacje dokonane na Ziemi. Wysoce rozwinięte istoty spoza Ziemi, obserwując Układ Słoneczny w czasie zbliżania się do naszej planety, nie miałyby trudności z odkryciem pierścieni Urana. Za to astronomowie europejscy z XIX i XX wieku nie mogli o tym wiedzieć. To, że Dogonowie nie wspominają o innej planecie poza Saturnem, która byłaby otoczona pierścieniami, wskazywałoby, że informatorzy ich byli Europejczykami, a nie kosmitami.

W roku 1844 astronom niemiecki F. W. Bessel odkrył, że na tle innych gwiazd Syriusz (Syriusz A) porusza się nie po linii prostej, lecz ruchem falowym. Bessel wysnuł hipotezę, że Syriusz ma ciemnego towarzysza, którego grawitacja powoduje ruch po krzywej sinusoidalnej. Ponieważ okres jednego skreśtu wynosił 50 lat, Bessel wywnioskował, że całkowity obieg Syriusza A i B wokół środka masy zachodził w okresie 50 lat.

Osiemnaście lat później Alvan G. Clark przypadkowo odkrył ciemnego towarzysza Syriusza w czasie prób nowego teleskopu o średnicy 47 centymetrów. Z obserwacji ich wzajemnych ruchów względnych można obliczyć masę Syriusza A i B sto-

Lektury mam dość tradycyjne. Nie wpadam w euforię z powodu prozy „bramerykańskiej”, cenę starego Hemingwaya, który dziś jest, podobno, „niemodny”. Prozę i wiersze Edwarda Stachury — znam od dwudziestu lat i śmiesz mnie dziś „odkrywanie” tego — tragicznie zmarłego — pisarza.

Nieustanną ucztą duchową jest dla mnie ciągle Bolesław Prus — jego „Emancypantki” czytałem — jak sądzę — dość uważnie i nieco mnie zdziwiła śpiewogra, jaką zrobił z tej powieści Adam Hanuszkiewicz. Ale nie zabierałem głosu — nie znam się na teatrze a wszyscy, którzy się znają, rali z zachęty. W Warszawie bywam rzadko, repertuar Teatru Narodowego śledzę za pośrednictwem recenzji w stołecznej prasie i eksperymenty Adama Hanuszkiewicza nie bardzo mnie obchodzą.

Ale stała się rzecz, która zainteresowała mnie jako felietonistę. Przypomnę pokrótce. Otóż zgodny zhor apologetów Adama Hanuszkiewicza został zakłócony głosem racjonalisty. Krzysztof Teodor Toeplitz postawił parę logicznych pytań, które w sumie, sprowadzają się do jednego — czy „mieszanka firmowa” Hanuszkiewicza przyrządzana z „najwzbitniejszych” dzieł lektury wiele ma wspólnego z samą „światą i przesłaniem” tych dzieł?

Zaraz potem Janusz Głowacki

na łamach tej samej „Kultury” opublikował przekorny i przewrotny felieton w którym atak na „szargającego świętości” Toeplitza ubrał w formę głupiej, obskuranczkiej polajanki. Ową konwencję Głowacki k-mpromitował pewen sposób myślenia. Przyjmując formę ale-przytomnego ataku na Toeplitza

polskiej literaturze ma przebogate, wielowiekowe tradycje...

Sprawa jest, niestety, szersza i wykracza poza kwestię eksperymentów Hanuszkiewicza i dosłownego odczytania przewrotnego, aluzyjnego tekstu. Sprawa jest smutna, bowiem nie-

się jedni z drugich śmiali... Opiniodawca, jak widać, nie nigdy nie słyszał o satyrze — żartobliwy komunikat poetyckiej Agencji Prasowej. Zupełnie tak samo jak czytelnicy „Kultury”, którzy przewrotny felieton Głowackiego przyjęli jak artykuł wstępny... no, powiedzmy, jakiejś dużej codziennej gazety.

A przecież zarówno czytelnicy „Kultury” reprezentują pewien poziom, choćby tylko dlatego, że ich potrzeby czytelnicze nie kończą się na „Gońcu” — jak i opiniodawca reprezentuje pewien poziom, choćby tylko dlatego, że się obraca w środowisku kultury Rzecz zatem dotyczy konsumentów kultury i dlatego sprawa wydaje mi się szersza niż mogłoby to z pozoru wyglądać.

Rzecz bowiem dotyczy owej „umiejętności czytania” — czyli mówiąc najogólniej umiejętności korzystania z dóbr kultury w całej ich złożoności. Bowiem kultura to nie tylko jeden jedyny, ogólnie obowiązujący komunikat, lecz ich nieskończona ilość.

WIDOK

ANTONI STARCZEWSKI



Dalej nie dall,
A jest na FALI.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

ROZSTANIA

Rozstania nie są łatwe. Ale są nieuniknione. Czas miją i trzeba iść na „zasłużony wypoczynek”. Sportowców rezygnuje z dalszej kariery, bo chce, aby zachowano go w pamięci, kiedy miał najlepszą formę, kiedy bił rekordy. Działacze też nie są wiecznie. Również trenerzy. Ich metody stają się przestarzałe, nie są już źródłem sukcesów drużyn. Nadchodzi więc rozstanie.

Kiedy Antoni Gateczka poprosił o zwolnienie go z funkcji trenera pierwszego zespołu Zagłębia Sosnowiec i chciał przejść na stanowisko trenera-koordynatora, to klub zwołał konferencję prasową i arocyście pożegnał trenera, który przecież z klubu nie odchodził. Było to niemal sensacyjne wydarzenie w naszym życiu sportowym. Bo rzeczywiście takie rozstania należą u nas do wyjątków.

Ludzie wiążą się z sobą w różnych okolicznościach i w różnych rozstaniach. Uważa się kogoś na przykład za zbawiciela w tej czy innej dyscyplinie sportu. Wiek mami się go różnymi obietnicami, aby tylko zechciał przyjść i tę dyscyplinę postawić na krajowych, europejskich bądź wręcz światowych wyżynach. Ale czas miją, zbawiciel zraża sobie ludzi, sukcesy nie przychodzą i trzeba się rozstać. Wtedy mówi się, że zbawiciel był zwykłym szuja, że kombinował, oszukiwał, lenił się, że pracował, był chamski i Bóg jeden wie jeszcze jakie. Po co to wszystko? Przecież ci, którzy teraz wyciągają na światło dzienne „brudy”, jakie zostawił zbawiciel, wtedy też byli przytomni, też widzieli, wiedzieli. I co? Dlaczego bohaterami stali się dopiero po fakcie? Nie najlepiej to o nich świadczy.

Rozstawanie się jest sztuką trudną, której w ogóle nie umiemy uprawiać. Z kadry polskiej odeszli Jan Tomaszewski i Włodzimierz Lubański. Grają za granicą. Ale nikt nie pomyślał do tej pory, aby zrobić jakiś mecz pożegnalny, aby uczyć kluby takiej właśnie formy rozstawania się z zawodnikami. PZPN obchodzi akurat 60-lecie, uświetni go pewnie akademią. A dlaczego nie takim właśnie meczem?

Są rozstania, które następują po skandalach, w atmosferze plotek. Niestety swój udział w tym ma również ŁKS. Pamiętamy jeszcze wszyscy, ileż to było plotek i niepotrzebnych nerwów przy rozstaniu się z Leszkiem Jezierskim. Do dziś nie mówi się dobrze o tym trenerze w ŁKS. A przecież wiele zrobił dla tego klubu. Teraz znów w bardzo przykrej atmosferze odszedł trener siatkarów — Ryszard Felisiak, który w ŁKS przepracował 22 lata, będąc jednocześnie nauczycielem wychowania fizycznego w jednej z łódzkich szkół.

Nigdzie i nikt nie powiedział, że stanowiska i funkcje pełni się u nas dożywnio. Przyszło nam żyć w dość skomplikowanych warunkach i życie stawia przed nami coraz trudniejsze i bardziej skomplikowane zadania. Byłoby to bardzo pięknie, gdyby człowiek sam doszedł do wniosku, że już nie daje rady, że zadania go przerażają, że nie potrafi przejść na nowoczesne metody i wymyślić coś nowego. Ale nie każdy ma aż tyle krytycyzmu. Każdy natomiast chce się czuć potrzebny, chce być aktywnym w życiu społecznym, sportowym, politycznym, w zależności od zainteresowań. I właśnie zadaniem działaczy jest tak postępować, aby każdy mógł w klubie dać z siebie to, co może najlepszego. I nie tylko w klubie zresztą. Niestety. Na ogół kluby, dochodząc do wniosku, że z kimś trzeba się rozstać, szukają „materiałów” przeciw niepotrzebnemu. Najczęściej wylewa się na niepotrzebnego kubał pomyli. A przecież można z człowiekiem porozmawiać, wyjaśnić mu stanowisko klubu czy instytucji, wspólnie poszukać pola dalszej współpracy. Właściwie ocenić jego dorobek, jego udział we wspólnej pracy. Ale to nie jest łatwe. Łatwiej oblać kogoś pomyjami.

Ryszardowi Felisiakowi też nie podziękowano już choćby za to, że trenowana przez niego drużyna siatkarów ŁKS powróciła do I ligi. Już nawet w samej ocenie tego faktu występują rozbieżności. Działacze klubowi — pisali o tym „Przegląd Sportowy” — usiłują pomniejszyć udział Ryszarda Felisiaka w tym awansie. Złe wyrażają się o jego metodach treningu, choć inni trenerzy z PZPS mają w tej mierze zupełnie inne, bo pozytywne zdanie.

Każdy klub ma prawo podziękować swojemu zawodnikowi, trenerowi, działaczowi za dotychczasową pracę i rozstać się z nim. Chodzi jednak o to, aby rzeczywiście podziękować i aby było to rozstanie, a nie wykopywanie. Uczmy się nie tylko współpracować ze sobą jak ludzie kulturalni, ale i rozstawać się w kulturalnej atmosferze. W sporcie potrzebne to jest tak samo, jak w każdej innej dziedzinie życia.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Zbliżająca się wiosna, zbliżająca się z trudem, ale jednak, zmusza wszystkich do robienia wiosennych porządków. Cała przyroda budzi się do życia. Każdy ma nadzieję, że tym razem będzie lepiej, że od wiosny zacznie nowe życie. Rzuci na przykład palenie, albo zacznie oszczędzać na smacochod, albo w ogóle będzie to lepszy rok. Trzeba więc się do tego przygotować. Okazją są święta, aby porządek zrobić w domu. Robi się więc bałagan, aby z tego wyszedł porządek. Inni też starają się stosować tę metodę.

Do wiosennych porządków zabrały się więc również nasze ukochane PKP. Wiadomo, że mamy fatalną linię kolejową łączącą Łódź z Kutnem, a przez to i Łódź z Poznaniem, Szczecinem, Gdynią, Gdańskiem, Kołobrzegiem. Linię tę modernizowano nie tak dawno, w wyniku czego pociągi miały jeździć o 10 minut krócej, ale w teorii tylko. Jak na tej trasie jeżdżą pociągi, wie każdy, kto nimi jechał. I oto teraz PKP znów przystąpiło do prac na tej linii.

Jak poinformował „Dziennik Popularny”, PKP zdecydowały, że od 14 kwietnia do połowy września 1980 roku przez 6 godzin dziennie zamknięty będzie odcinek torów kolejowych między Kutnem a Łęczycą. A od 21 kwietnia 1980 roku również na trasie Zgierz — Glinnik, albo nawet do Strykowa. W związku z tym niektóre pociągi, jak na przykład do Szczecina, albo „Pomorzanin”, chodząc będą wręcz z Kutna. W najlepszym wypadku będą jeździły do Łodzi przez Kołuszki.

W ogóle uważam, że łodzianom nie jest zupełnie potrzebne połączenie kolejowe z północnymi i północno-zachodnimi rejonami Polski. Wystarczy nam połączenie z Warszawą, gdzie, jak wiadomo, znajdują się centralne urzędy. Przez Warszawę można również jeździć na urlop nad morze. Ale niekoniecznie. Łodzianie powinni wypoczywać

w górach. Z południową Polską mamy — jak do tej pory — znośne jeszcze połączenia. Nawet autobusy chodzą regularnie w południowym kierunku. Zostawmy więc brzegi morza tym, którzy mają tam bliżej. Skoro zrejonizowano Polskę pod względem produkcji napojów orzeźwiających i część Polski należy do „Pepsi-coli”, a część do „Coca-coli” (podobnie jest z piwem), to dlaczego PKP nie może podzielić Polski na wypoczywającą w górach i nad morzem. U nas na przykład jest takie bogactwo jodu, że łódzkim dzieciom wyjazd nad morze jest zupełnie niepotrzebny.

WIOSENNE PORZĄDKI

Pisałem już wielokrotnie, że instytucje powołane do obsługi ludzi zajmują się przede wszystkim wygodnym urządzeniem sobie życia. PKP stoi na ich czele. Ale i łódzkie MPK ma swoje w tym zasługi. Oto w „Małym Głosie”, ukazującym się na łamach „Głosu Robotniczego” mieszkający Starowej Góry skarżą się, że MPK oddając komunikację z Tuszyńem i Rzgowem PKS, zlikwidowało przy okazji dojazd autobusem „59” do Starowej Góry. Autobus ten dojeżdża tylko do krańcówki autobusu „70”. Mieszkańcy Starowej Góry, aby dostać się do pracy, muszą teraz kilometr dochodzić do autobusu, bo autobus PKS jadą do Łodzi już przepełnione i w Starowej Górze nie

zatrzymują się. MPK ma — co nie jest tajemnicą — poważne trudności (ale kto ich dziś nie ma?), więc MPK nie może podjeżdżać tramwajem czy autobusem pod bramę każdego pasażera. Trzeba trochę pochodzić. Nawet pobiegać. To potrzebne jest dla zdrowia. Mieszkańcy Starowej Góry skarżą się, że „zamiast ułatwić, utrudnia się nam życie”. A kto powiedział, że MPK ma komukolwiek ułatwiać życie? Ono ma wozów pasażerów. Woz. Zwalczanie trudności nie polega przecież na likwidowaniu ich przyczyn, ale skutków. Im się mniej będzie wozilo, tym mniej będzie trudności. Mieszkańcy Starowej Góry powinni się więc cieszyć, że dzięki MPK będą teraz zazywali więcej ruchu.

Wielekroć też już pisałem o telefonach dla pociągów taksówek. Okazuje się, że na przykład w Tomaszowie Mazowieckim jest taki telefon na postoi przy placu T. Kościuszki. Oczywiście Tomaszów Mazowiecki jest dużo mniejszy od Łodzi, tam wystarczy jeden telefon na centralnym placu. Ale w Warszawie działa „radio-taxi”, do którego nie można się co prawda dozwolnić tak łatwo, ale to już inna sprawa. W Łodzi jakby przybyło taksówek, a może trochę mniej się z nich korzysta. W każdym razie byłoby dobrze, aby pomyślano nad tym, żeby i w Łodzi — jak w każdym dużym mieście — można było przywołać taksówkę przez telefon. Techniczne warunki dla realizacji takiego przedsięwzięcia cywilizacyjnego dawno już wynaleziono. Potrzeba teraz trochę pomysłu i trochę dobrej woli. I trzeba pamiętać, że niektóre instytucje powołano dla obsługi innych.

Nie chodził bowiem o to, aby robić wiosenne bałagan bezmyślnie, ale aby porządkować nasze życie z troską o jego wyższą jakość.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Pisałem już kiedyś, że nie przepadam za literaturą fantastyczno-naukową. Wszystkie te wydumane na siłę światy umieszczane oczywiście na „nynich planetach”, są zwykłym ekstrapolacjami naszej ziemskiej rzeczywistości, naszej ludzkiej koncepcji, różnymi jej rzutami, powykrywanymi w dowolny sposób. To wciąż jesteśmy my sami, tyle, że wyposażeni w przedziwne narzędzia, zwłaszcza zresztą w narzędzia zniszczenia przeciwników, od których dalekie światy aż się roją.

Tymczasem całkowitym odrogiem leży — jeśli chodzi o temat — do fantazjowania — cała ogromna dziedzin, stanowiąca znakomitą, gotową odcisków do tworzenia obrazów naprawdę, naglej i najistotniej zdumiewających, chociaż — powiadam — stycznych z istniejącą rzeczywistością. Myślę mianowicie o otaczającej nas przyrodzie i zachodzących w niej zjawiskach. Zamiast zaludniać falekie planet, tworząc i analizując planety, myślimy tak jak my, żyjącymi według znanych nam ludzkich reguł, według biologicznych warunkowań człowieka i jego urządzeń społecznych — może by tak spróbować przywrócić się do istnienia społeczeństw bazujących na przykład na obyczajach i urządzeniach owadów?

Maurycy Maeterlinck, pisarz belgijski sprzed kilkudziesięciu lat, zafascynowany mnogością i

dzikością form otaczającego nas życia, próbował właśnie antropomorfizować, łącząc panteistyczną metaforą byty przeróżnych gatunków z życiem człowieka. W zbiorze szkiców pt. „Ścieżkami wzywać” (to gatunki pna się tysiącami ewolucyjnymi ścieżkami ku jakimś bytowi idealnemu) pisze zapomniany dziś laureat Nagrody Nobla o poświęceniu marnym (Minotaurus thyleus), którego specyficznym obyczajem jest, że

nie przez kobiety, chociaż same mogą być chłopcami. Ci chłopcy wiedzą co ich czeka i oczywiście uważają, że taki jest ich przyrodzony los, a więc — ich „uświadomiona konieczność”, czyli wolność. Tak spreparowany obraz świata dałby chyba sposobność znieglizowania wielu uświadomionych konieczności, które wcale koniecznością nie są, a także pozwoliłby zdemaskować wiele przesądów i walce płci,

w którym wartość życia jednostki mierzy się szybkością wzrostu zastawionej przez jednostkę „masy przerobu”. Byłaby z tego kapitalna groteska, dająca pole wielu mądrym, pożytecznym paradoksom. Taka filozoficzna bajka byłaby na pewno czymś ciekawszym niż jeszcze tysiąc nadświetlnych rakiet i automatycznych gaśnic przeciwsonicznych.

Jest jeszcze taka ryba szczeniaka (Bonellia viridis), która jako „ona” osiąga wielkość 1 metra, a jako „on” — 2 milimetra! Mał dorasta przycepiiony do ryjka żony, potem wchodzi do środka, dociera do damskich wnętrzności i tam żyje sobie spokojnie, świata poza swą żoną nie znając i spełniając przy tym wszystkie godne małżonka funkcje jego przedłużenia gatunku. Węć może taki świat: kobiety z mężami noszonymi w jakiejś tam kieszone, szczęśliwe, wyzwolone z garów i skarpet, absolutnie pewne wierności swych partnerów?

Pomysłów na powieści i filmy fantastyczne wielkie, nieskonczone mnóstwo. Nawet nie trzeba za to pomysły płacić. Wystarczy poczytać czasami książki przyrodnicze i podumać sobie nad różnymi osobliwościami tego świata...

CWIEK

SZCZETNICA I SKARABEUSZ

ojciec nigdy nie dożywa narodzin swego potomstwa. Samiec poświętnika przestaje w ogóle jeść, przystępując do budowy gniazda. Kopie norę, umacnia ją i mości, wypełnia zapasami pożywienia. Trwa to aż trzy miesiące. Skończywszy pracę, wyczołguje się resztką sił i ginie. Węć może by analogicznie wymyślić społeczeństwo ludzkie bez ojców? Świat, którym wreszcie dysponują wyłącznie matki. Gdzie dzieci nie znają pojęcia ojca, są wychowywane wyłącz-

nie przez kobiety, chociaż same mogą być chłopcami. Ci chłopcy wiedzą co ich czeka i oczywiście uważają, że taki jest ich przyrodzony los, a więc — ich „uświadomiona konieczność”, czyli wolność. Tak spreparowany obraz świata dałby chyba sposobność znieglizowania wielu uświadomionych konieczności, które wcale koniecznością nie są, a także pozwoliłby zdemaskować wiele przesądów i walce płci,

inny „bohater” Maeterlincka, egipski skarabeusz, toczy sobie wielką — w jego skali — kulę nawozu, zakopuje ją i zaczyna wielkie żarcie. Potrafi uczynić parę miesięcy bez przerwy, zostawiając za sobą nitkę własnych odchodów, wydłużającą się — bo i to zmierzono — z szybkością 3 milimetrów na minutę. No — niech nam jakiś nowoczesny Swift pokaże społeczeństwo,

Załącznik nr. 67/.../80

HASŁO NUMERU: Póty dzban wodę nosi póki w ody starczy.

Okazuje się, że badania naukowe intymnych sfer życia mogą przynieść nader interesujące rezultaty nie tylko w odniesieniu do rodzaju ludzkiego. Czytelników, którzy po tym pierwszym zdaniu pomyślą, że chce upowszechniać nie odkryte jeszcze tajniki ars amandi, lojalnie uprzedzam, że dalej nie będzie nic, co mogłoby konkurować ze „Sztuką kochania” nieocenionej Michaliny Wisłockiej. Dalszy mój wywód poświęcony będzie bowiem czystej nauce.

Zatem ad rem. Znakomity zoolog R. Thornhill z Zakładu Biologii Uniwersytetu New Mexico w Albuquerque zajął się pasjonującym zagadnieniem seksualizmu wojslika (łacińska nazwa *Hyllobittacus apicalis*).

Uczony ten nie poprzestaje tylko na teoretycznych dociekaniach, ale podjął nawet szczerze, letni trud śledzenia tych owadów w ich naturalnym środowisku, w gąszczu traw i krzewów, narażając swą cenną osobę na rozliczne trudy, niewygody, a być może, nawet na nieznane nam niebezpieczeństwa. Złożone na ohtarzu nauki poświęcenie nie poszło jednak na marne, zawołało bowiem rewelacyjnymi wynikami, które mogą dokonać przewrotu w dotychczasowych poglądach na seksualny behavior wojslika.

Dociekliwy badacz stwierdził bowiem ponad wszelką wątpliwość, że kopulacja między tymi owadami może dojść do skutku tylko po obdarowaniu samicy

przez krewkiego samca pokarmem, który uczony nazywa podarunkiem godowym (skąd my to znamy?). W barwnym opisie Thornhill wygłąda to następująco: samica na widok samca z upolowaną ofiarą (najczęściej muszką) składa skrzydła na swym odwłoku. Stanowi to sygnał do podania jej pokarmu. Dalej cytuję in extenso: „Samiec podaje, ale nie puszcza zdobyczy. Oboje ją teraz trzymają, a samica próbuje pokarm, przytrzymując ją obydwoma

swój odwłok wygięty ku tyłowi. Dopiero podczas pożywiania się pozwala ona samcowi na zespolenie genitaliów. Po kopulacji oba osobniki wydierają sobie zdobycz, która przeważnie (64 proc. obserwowanych przypadków) zostaje w posiadaniu samca”. (Nasi jednak góral — przyp. mój — S.B.).

Niemniej pasjonujące są opisy umizgów i godów anioła czyli zielonej jaszczurki amerykańskiej (*Anolis carolinensis*), zwaną również niekiedy kamele-

Dalej uczony dzieli się z nami niezwykłym spostrzeżeniem, że „samice poznają indywidualność samca po typie jego podskoków”.

Wreszcie następuje kulminacyjny opis podstawowych obserwacji pary aniołów, również dozwolony od lat 18, który znowu przytaczamy in extenso, aby Czytelnik nie urobił nic z niezwykłych spostrzeżeń uczonego: „Jeśli samica jest receptywna, pozwala się ona samcowi schwytać za skórę na karku. Ten akt wraz z owinięciem ogona o ogon samicy umożliwia samcowi przyłożenie się do niej i zbliżenie okolic płciowych (jak subtelnie ujęte — prawdę? — przyp. S.B.). Następuje intramisia hemipenisu odpowiedniej strony. Węzeł jaszczurki mają parzyste penisy. Anol używa lewego lub prawego zależnie od tego, po jakiej stronie samicy znajduje się on w chwili kopulacji”. (Pozazdrościł Pozazdrościł).

Pasjonujące odkrycia obydwu znakomitych uczonych: R. Thornhill i D. Crewsa szeroko omawia Bożydar Szabuniewicz na łamach „Problemów”. Czytelników bardziej zainteresowanych seksualnym behavior wojslika i zielonej jaszczurki amerykańskiej odsyłam do nr. 2 tego poczytnego czasopisma popularnonaukowego z br. Lekitura przedmiotów może zaiste wzbudzić podziw dla potęgi ludzkiego rozumu.

Stanisław Bąkiewicz

PODGLĄDAJĄC WOJSIŁKA

nóżkami tylnymi i jedną lub dwoma środkowymi. Jeśli próba smakowa nie wypadnie odpowiednio, samica puszcza zdobycz i odlatuje w poszukiwaniu innego samca. Jeśli zdobycz okaże się odpowiednią, rozpoczyna ona pożywianie się na ofierze (muszce — przyp. mój — S.B.) i wówczas staje się receptywna”. („Coś mi to przypomina” — przyp. — S.B.).

Dalszy opis dozwolony jest od lat 18. Cytuję: „Samiec tuż wcześniej końcem swego odwłoka czyni próby skontaktowania genitaliów, ale samica trzyma

nem, wnikliwie zbadane przez D. Crewsa z Uniwersytetu w Harvard. Po wieloletnich docieklawych obserwacjach i skrupulatnych badaniach uczony raczy nas następującym odkrywczym opisem: „Gdy samica pojawi się na terytorium samca, zbliża się on do niej, szerząc sukcesywnie podęś. W przerwach wykonuje on stereotypowe ruchy o charakterze zalotów (courtship display). Te porażają na podskokujących tyłach ruchach ciała w pionie i wypuczeniu gardła”.

PRZTYCZKI

Pogratulować!

Mamy do odnotowania kolejny sukces społecznej służby zdrowia.

Pracownie rentgenowskie wyznaczają terminy prześwietlenia żołądka i dwunastnicy już na koniec maja. Musztarda oo obiedzie — to zbyt łagodne określenie.

Dodajmy, że ta interesująca ilustracja sprawności naszego lecznictwa pochodzi z Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Górna.

ZOZ Łódź-Górna rozslawily ostatnio inne nieco sukcesy: w zeszłym roku zajęcie pierwszego miejsca we współzawodnictwie ZOZ-ów województwa łódzkiego, a przed dwoma laty — pierwszego miejsca w kraju.

Pogratulować! Na wszelki wypadek nie sprawdzian, jakie terminy przewidzianych wyznaczają pacjentom te inne — znaczy się, gorzej — ZOZ-y. Strach pomyśleć!

Jak to nazwać?

„Czytelnik” opublikował niedawno z datą 1979 — w nakładzie 30 tys. egzemplarzy, „Poezje” Jana Lecho-

nia. Państwowy Instytut Wydawniczy wydał w 1976 roku, w nakładzie 30 tys. egzemplarzy, „Poezje” Jana Lecho-

nia. PIW informuje w metryczce, że jest to wydanie III „Poezji”, zaś w nocie o autorze stoi wyraźnie, że „układ niniejszego tomiku opiera się na najobszerniejszym wyborze opracowanym przez M. Toporowskiego (Warszawa, „Czytelnik” 1957-1.). Wszystkie dopełnienia (...) zebrała mgr Alina Kowalczykowa”.

„Czytelnik” natomiast informuje w metryczce, że jest to wydanie I, a na stronie tytułowej obwieszcza: „Wyboru dokonała Wanda Nowakowska”.

Jak nazwać to, co W. Nowakowska zrobiła z dorobkiem poety i poczynaniami edytorów — M. Toporowskiego i A. Kowalczykowej — skoro jej „wkład” do ich pracy ograniczył się do uzupełnienia ich wyboru o 4 krótkie wiersze i usunięcia całości 12-utworowego działu: „Przekłady”? Skoro 130 pozostałych wierszy raczyła uwzględnić w „swoim” wyborze, nie zmieniając nawet ich kolejności i układu?

Ktoś ma kogoś gdzieś. Na osiedlu Retkina przekazano do użytku drugą jezdnię ulicy Marchlewskiego. Zmotoryzowani — mimo że budowa ciągnęła się długo i mozolnie — jakoś się nie cieszą. Ba, niektórzy na czym świat stoi.

Muszą bowiem dokonywać przymusowych — czasem i parokilometrowych — obja-

zów, gdyż na całym odcinku od ul. Dzierżyńskiego do ul. Allende nie zrobiono ani jednego połączenia między oboma jezdniami, przedzielonymi tramwajowym torowiskiem.

Rozwiązanie takie od błędów daje się usprawiedliwić na takich trasach przelotowych, jak ul. Promińskiego czy al. Wiłkniarzy, nie tu jednak — bo to nie przelotowa, lecz dojazdowa droga, wokół której, aż gęsto od bloków.

Jeszcze trochę, a nasza dbałość o paliwowe oszczędności zacznie przypominać naszą walkę z alkoholizmem.

Skonfrontowani

Podczas projekcji filmu Eisensteina „Niech żyje Meksyk” (program „Konfrontacja”) skonfrontowali zostaliśmy na seansie w dniu 15 bm o godz. 9 ze stanem technicznym i dyscypliną obsługi kina „Polonia”.

Co rusz wysiadał dźwięk, pech zaś chciał, że kinooperatorzy udali się akurat na śniadanie (choćby dla własnego zdrowia należałoby je jeść wcześniej). Na koniec niezakończonych projekcji widownia została przeproszona i poinformowana, iż, niestety, filmu nie da się obejrzeć z całością, ponieważ zapadł się gdzieś ostatni jego akt.

Eisenstein te pięćdziesiąt lat temu lepiej zrealizował swój film, niż my go teraz wyświetlamy.

O. Perator

KŁOPOTY Z UFO

przekonywał, opowiadał, dowodził, że aż mu dano wiarę. I — jak donosi w korespondencji z Brazylii. Ryszard Ginalski — powołano w Casimiro de Abreu komitet powitalny, ułożono program uroczystego na-

W Brazylii niejaki Edilio Barbosa donosił władzom, że w Casimiro de Abreu (130 km od Rio de Janeiro) 8 marca 1980 roku o godzinie 5,20 nastąpił lądowanie UFO. Wprawdzie uważano, że Edilio Barbosa brakuje „piętej kleпки”, ale tak długo

wiązania kontaktu z kosmitami. Na wyznaczony dzień ściągali do Casimiro de Abreu liczni turyści, dziennikarze, wędrowni kramarze, kieszonkowi złodzieje.

Kosmici nie przybyli. Edilio Barbosa uchronił przed złinczowaniem silną eskortą policji.

Kto teraz odważy się powiadomić władze, że kosmici znowu nadali wiadomość, iż przybywają...?

K.O.Smita



WIOSNĄ WCZEŚNIE BUDZIMY SIĘ DO ŻYCIA!

Rys. Jan Kilkowski

NIE BĘDZIE KOŃCA ŚWIATA

Optymści natomiast są innego zdania. Powiadają oni, że skoro superpozycja następuje regularnie co 176 lat, to w „życiu” naszego Układu Słonecznego wystąpiła już wielokrotnie i jak do tej pory nie się nie stało. Dlatego teraz ma się coś stać.

Optymści zaprzegli do roboty komputery, a te obliczyły, że planety Układu Słonecznego w superpozycji nie ustawia się w idealnej linii, ale utworzy się coś w rodzaju stożka, o kacie rozwarcia 60 stopni. Poza tym komputery obliczyły, że około 90 procent masy Układu Słonecznego równoważy siła przyciągania Słońca.

Możemy więc spać spokojnie. Za dwa lata nie będzie końca świata.

Pesymiści wszakże, niech sobie czarno widzą, jak im to potrzebne do radości życia.

Rys.



Rys. Edward Bogdański

TADEUSZ WIERZBICKI

NAGROBEK OSZCZĘDNEGO

Taki oszczędny że aż sam poczuł się zbędny

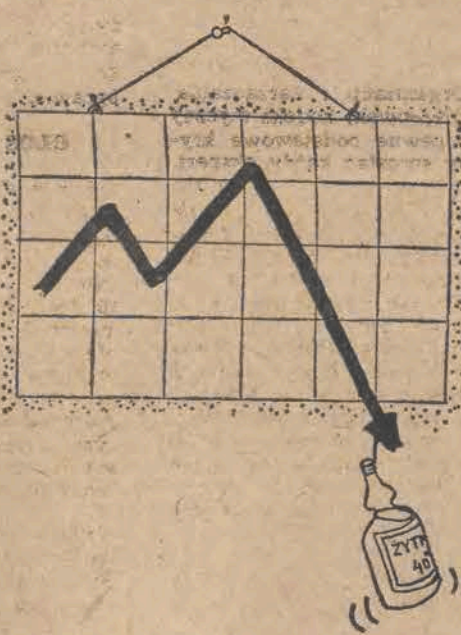
NAGROBEK GRABARZA

Sam sobie dół wykopał. Nie ma komu przysypać chlopa.

MIECZYSLAW M. SZARGAN

RIPOSTA

Zmija spotkawszy kameleona: „O, ubarwiony inaczej niż wczoraj?” A kameleon na dociekliwe spojrzenie: „No cóż, taka skóra, jakie otoczenie!”.



Rys. Walerian Domański

TADEUSZ WIEŻAN

Z PAMIĘTNIKA MAJSTRA

Przechodziłem akurat przez plac budowy, kiedy podbiegli do mnie Waldek — młody malarz i zebrać myśl.

Wtryskowy i zagadnął: — Panie brzydaczko, mógłbym pana do telewizji podać? — A z jakiej racji? — zapytałem.

— Bo teraz w telewizji pokazują taki łańcuch ludzi dobrej woli tj. jak ktoś komuś w życiu pomógł to go w telewizji pokazują. A pan mi kiedyś pomógł, jak mnie źle w księgowości godzin obliczyli, to pan poszedł i wyjaśnił.

Nie wiedziałem co chłopcu w pierwszej chwili odpowiedzieć. Zacząć od Adama i Ewy, czy przejść od razu do budowy Nowej Huty?

— A ty tam będziesz? — zapytałem, żeby zyskać na czasie i zebrać myśl.

— Ma się rozumieć, że będę, bo jutro pokazywać mają profesora od regulacji Wisły. A żona tego profesora zlamana w Zakopanem nogę i nie mogła biegać za dziećmi nad morzem i moja ciotka, która jest na emeryturze, dopilnowała jej dzieci, a ja ciotkę wymalowałem za darmo mieszkanie.

Czyli jeszcze dwa dni i już ja jestem.

A po mnie może być pan, tylko panie majster za to malowanie nie na czwartym piętrze, należą mi się nadgodziny.

Koniec